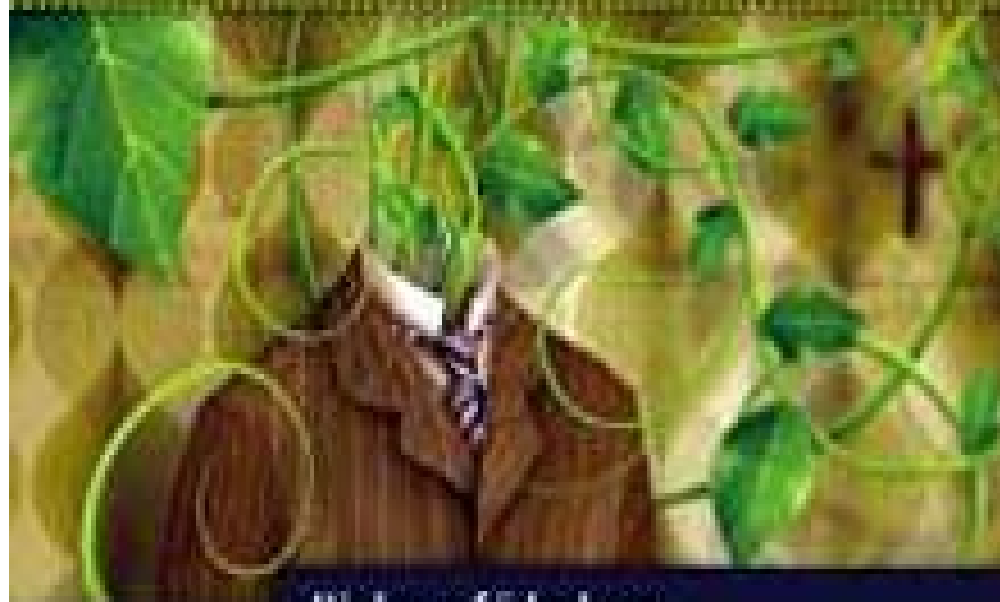


Literatura
SKANDYNAWSKA



Hjalmar Söderberg

Młodość Martina Bircka



Hjalmar Söderberg

Młodość Martina Bircka

(Martin Bircks ungdom)

Przekład Paweł Pollak

Przekład wierszy Anna Fiutak

Na starej ulicy

I

Martin Birck był małym dzieckiem, które śniło, leżąc w swoim łóżku.

Był letni wieczór, zapadał zmierzch, cichy, zielony zmierzch, a Martin szedł z mamą za rękę przez ogromny, dziwny ogród, gdzie cień zalegał w głębi mrocznych alejek. Po obu stronach ścieżki rosły osobliwe niebieskie i czerwone kwiaty, kołysane na wiotkich łodyżkach przez wiatr. Martin trzymał się maminej ręki i zdumiony spoglądał na kwiaty, nie myśląc o niczym. Możesz zrywać tylko te niebieskie, czerwone są trujące, powiedziała mama. Wtedy ją puścił i przystanął, żeby zerwać dla niej kwiat, chciał zerwać duży niebieski kwiat, który kiwał się ociężale na łodydze. Taki wspaniały kwiat! Spojrzał nań i powąchał. Spojrzał ponownie wielkimi, zdziwionymi oczami: nie był wcale niebieski, tylko czerwony. Całkowicie czerwony! Obrzydliwie, jadowicie czerwony! Rzucił złośliwą roślinę na ziemię i zdeptał jak groźnego gada. Kiedy się odwrócił, mama zniknęła. Mamo, zawołał, gdzie jesteś? Gdzie jesteś, dlaczego się przede mną chowasz? Pobiegł kawałek w dół alejki, ale nikogo nie zobaczył, zebrało mu się na płacz. Alejka była pusta i cicha, robiło się coraz ciemniej. W końcu gdzieś

bardzo blisko usłyszał głos: tutaj jestem, Martin, nie widzisz mnie? Lecz Martin nic nie widział. Przecież jestem tutaj, dlaczego tu nie podejdziesz? Teraz rozumiał: za czarnym bzem, stamtąd dochodził głos, że też nie zorientował się od razu... Podbiegł tam i zajrzał – był pewien, że jego mama schowała się za krzakiem. Lecz za bzem stał Frans z „Długiej Szeregówki”, a jego grube, owrzodzone wargi ułożyły się w paskudny grymas, i naraz wyciągnął język, tak daleko, jak zdołał! Ależ miał język – stawał się coraz dłuższy, w ogóle się nie kończył i pokrywały go żółtozielone pęcherzyki.

Frans był łobuziakiem, który mieszkał w „Długiej Szeregówce” po drugiej stronie ulicy. Zeszłej niedzieli opluł nową brązową kurtkę Martina i nazwał go snobem.

Martin chciał uciec, ale stał jak przygwożdżony do ziemi. Czuł, że cierpną pod nim nogi. Znikły kwiaty i drzewa, i ogród, a on znajdował się sam na sam z Fransem w ciemnym kącie podwórza, przy śmietniku – próbował krzyczeć, ale gardło miał jak zasznurowane...

II

Kiedy się obudził, mama stała przy łóżku ze świeżą białą koszulą w ręku i mówiła:

– Wstawaj, susełku, Marysia poszła już do szkoły. Nie pamiętasz, że dzisiaj jest obrywanie gruszek na podwórzu? Musisz się pośpieszyć, jeśli

chcesz coś dostać!

Mama Martina miała kasztanowe włosy i niebieskie oczy. W tamtym czasie ich spojrzenie było jeszcze jasne i uśmiechnięte.

Położyła koszulę na łóżku, skinęła mu głową i wyszła.

Marysia była starszą siostrą Martina. Miała dziewięć lat. Chodziła do szkoły i знаła już nazwy wielu rzeczy po francusku.

Martin wciąż miał zaspane oczy i senny chaos w głowie, nie mógł zebrać się do wstania.

Rolety były podciągnięte i promienie słońca wpadały prosto do pokoju. Drzwi do kuchni były uchylone. Lotta póżeżała na parapecie i rozmawiała z kimś za oknem – pewnie z Haggbomem, stróżem. W końcu Haggbom zaczął śpiewać na podwórzu swoim przepitym głosem:

*Gdybym jak Salomon był bogaty
i miał pieniędzy jak mało kto,
pojechałbym do Kalkaty
i kupił sobie dziewcząt sto.*

– Co Haggbom by z tyłoma zrobił? – zapytała Lotta. – Haggbom, który nawet o stróżkę nie umie zadbać.

Martin nie usłyszał, co Haggbom odpowiedział, ale Lotta roześmiała się na całe gardło.

– Haggbom nie ma za grosz wstydu – rzekła.

Na podwórko wyszła teraz żona stróża – dochodził taki odgłos, jakby opróżniała balię z pomyjami. Potem zwymyślała Haggboma, Lottę także. Jednak Lotta tylko się zaśmiała i zatrzasnęła okno.

Martin na wpół przebudzony wpatrywał się w pęknięcia na suficie. Jedno do złudzenia przypominało stróżkę Haggbom, jeśli patrzyło się pod właściwym kątem.

Wybiła dziewiąta na ladugardslandzkim kościele, a kiedy uderzenia umilkły, zaczął bić zegar w salonie. Martin wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna, żeby sprawdzić, czy gruszki są jeszcze na drzewie.

Gruszę na podwórzu uwielbiały koty i dzieci. Była stara i potężna, wiele gałęzi już uschło, ale pozostałe każdej wiosny okrywały się kwiatami i zielenią, a na jesień wydawały owoce.

Synowie Haggboma siedzieli wysoko na drzewie i zrzucali gruszki, napchawszy najpierw do pełna własne kieszenie, a chmara pozostałych dzieci biła się na dole o każdy spadający owoc. Pośrodku tej gromady znalazła się rozłożysta pani Lundgren i donośnym głosem chciała zaprowadzić sprawiedliwość, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Nieco na uboczu stała z rękami na plecach mała Ida Dupont o dużych oczach – nie ważyła się wejść w to kłębowisko. Pani Lundgren nie podała jej żadnej gruszki, albowiem darła koty z panem Dupontem, wiolonczelistą w dworskiej orkiestrze.

Martinowi zaczęło się śpieszyć, narzucił pędem ubranie i zbiegł po schodach.

Lotta zawołała za nim:

– Niech się najpierw umyje i uczesze...

Ale Martin był już na podwórzu. Pani Lundgren natychmiast wzięła go pod swoje skrzydła.

– Zrzuc gruszkę dla Martina, John; nadstaw czapkę, drogie dziecko, to dostaniesz gruszkę...

Gruszka wpadła do czapki. Tylko że teraz Martin nie mógł znaleźć swojego scyzoryka – chciał ją obrać.

– Daj, to ci obiorę – powiedziała pani Lundgren.

Wzięła owoc, nadgryzła dużymi, żółtymi zębami i oderwała kawałek łupiny. Martin zrobił wielkie oczy i mocno poczerwieniał. Teraz już wcale nie chciał gruszki.

Pan Dupont pólleżał w oknie w samej koszuli i czerwonej mycce na głowie i palił fajkę. Wychylił się i zaśmiał z pani Lundgren.

Pani Lundgren rozgniewała się:

– Dzieciak jest rozpieszczony.

John wznosił triumfalnie ostatnią gruszkę, dzieci wiwatowały i krzyczały, lecz John schował ją do kieszeni swoich spodni. Za to Ville znalazł jeszcze jedną, już naprawdę ostatnią – dostrzegł Idę Dupont stojącą przy murze ze łzami w oczach i szlachetnie wrzucił tę gruszkę do jej fartucha. Znowu rozległy się wiwaty – zerwali wszystkie gruszki.

Lecz na to pojawiła się Haggbomowa:

– Boże w niebiesiech, co za harmider, i to gdy Haggbom jest umierający! Złaźcie z drzewa, morusy!

Haggbom był jakiś czas temu złożony chorobą i wyobraźnia jego żony często wracała do tego względnie szczęśliwego okresu.

Chłopcy zeszli z drzewa, Haggbomowa złapała Johna za włosy, a Villego za ucho, żeby zaprowadzić ich do środka. Lecz pani Lundgren poczuła się odrobinę urażona, przecież poniekąd przewodziła tej akcji. A że utarczki sprawiały jej przyjemność, nie omieszkała z pewną ostrością wskazać pani Haggbom na niestosowność jej zachowania. Ta puściła chłopców, żeby wziąć się pod boki, i wybuchła wielka kłótnia. Nadciągnęli gapie, okna we wszystkich kuchniach otwarły się na oścież.

Na koniec przez awanturę przebił się głos:

– Pst! Radca dworu!

Zapadła całkowita cisza – radca dworu Oldthusen miał największe mieszkanie i był najdostojniejszym lokatorem w kamienicy. Ubrany był w długi, obcisły surdut, a pod pachą niósł wytartą skórzaną aktówkę. Gdy zszedł ze schodów, zatrzymał się i zażył prymkę tytoniu. Potem wyszedł wolno przez bramę z roztargnioną i zafrasowaną miną męża stanu.

Martin i Ida, trzymając się za ręce, wymknęli się na ulicę. Odważyli się wyjść kilka kroków za bramę, po czym zatrzymali się na środku ulicy

i zmrużyli oczy przed słońcem.

Ulicę opasywały drewniane domy, dachy kryte dachówką i zielone drzewa. Na całej długości jedynie kamienica, w której mieszkał Martin, była dużym murowanym budynkiem. „Długa Szeregówka” naprzeciwko leżała w cieniu, rząd niskich szarobrudnych domów. Tam mieszkali sami naprawdę biedni ludzie, mówiła mama Martina. Sam motłoch, mówiła pani Lundgren. W farbiarni, trochę dalej w dole ulicy, pracowano ospale, farbiarz stał w bramie w pantoflach i białym kitlu i rozmawiał z kobietą z magazynu. Nawet przed szynkiem na rogu było cicho. Zatrzymał się tam wóz piwowarski – koń ze spętanymi przednimi nogami jadł owies z worka zawieszzonego wokół pyska.

Wybiła dziesiąta na ladugardslandzkim kościele.

Ida pokazała w dół ulicy.

– Idzie koziarka.

Koziarka nadchodziła ze swoimi dwiema kozami, jedną prowadziła na postronku, druga szła wolno. Mała wnuczka radcy miała koklusz i pijała kozie mleko.

– Tak, a tam idzie szmaciarz.

Przygarbiony staruszek wszedł przez bramę z workiem na plecach i czarnym, ubrudzonym kijem. Powiadano o nim, że pamiętał lepsze dni.

Dwóch pijaków wytoczyło się z szynku i ramię w ramię ruszyli ulicą. Stójkowy w białych płóciennych spodniach przechadzał się tam

i z powrotem, z tylnej kieszeni wystawał mu egzemplarz „Faderneslandet”. Stadko kur z kogutem na czele przydreptało z podwórka w „Długiej Szeregówce” – policjant przystanął, wyjął połówkę bagietki z kieszeni i zaczął je karmić.

– Co będziemy robić? – zapytała Ida.

– Nie wiem – odpowiedział Martin. Sprawiał wrażenie całkowicie bezradnego.

– Chcesz moją gruszkę?

Ida wyjęła owoc i podetknęła Martinowi pod nos. Wyglądał bardzo kusząco.

– Możemy się podzielić – zaproponował Martin.

– No pewnie, możemy się podzielić.

– Ale nie mam nożyka, żeby przeciąć!

– Nie szkodzi. Ugryź pierwszy, a potem ja.

Martin ugryzł, Ida ugryzła. Martin zapomniał, że chciał gruszkę obraną.

Ktoś zawołał Martina, w następnej chwili pojawiła się babcia i wzięła go za rękę.

– Co, na Boga, Martin dzisiaj sobie myśli? Nie ma zamiaru uczesać się, umyć i zjeść śniadania? Psiekrwie, co za chłopak...

Babcia udawała rozgniewaną, ale Martin tylko się roześmiał.

W bramie spotkali Haggboma, który szedł już lekko niepewnym krokiem. Ustąpił im szerokim łukiem i z galanterią zdjął czapkę, mruzczał

przy tym swoją piosenkę:

... pojechałbym do Kalkaty i kupił sobie dziewcząt sto.

Na podwórzu zrobiło się cicho. Opasły ryży kot Haggbomowej przeciągał się z przymrużonymi oczami na śmietniku, a wokół biegały myszy.

III

Szarego październikowego przedpołudnia mama pozwoliła Martinowi pójść pobawić się do Idy Dupont.

Pan Dupont miał dwa małe pokoje na pierwszym piętrze. O tej porze brał udział w próbie orkiestry, Martin z Idą byli sami.

Dzień był ciemny i pochmurny. Półmrok spowijał pierwszy pokój, żaluzja przesłaniała wysokie okno. Kiedy odginało się kawałek żaluzji w rogu, między dwoma szarymi ścianami domów widać było fragment dużej czarnej kopuły ladugardslandzkiego kościoła. Bim-bom, powiadały dzwony.

Ida pokazała Martinowi fotoplastykon z różnokolorowymi obrazkami. Znajdowały się tam białe zamki i ogrody z długimi rzędami lśniących lampionów, żółtych, czerwonych i niebieskich. Obce miasta z kościołami i mostami, z parowcami i dużymi żaglowcami na szerokiej rzece. A także rzęście oświetlone sale o promieniejących żyrandolach,

ale świetlne płomyki w rzeczywistości były tylko małymi dziurkami, zrobionymi szpilką. Wszystko stawało się takie ogromne i żywe, kiedy patrzył w fotoplastykon. Niemal poruszało się, z pewnością były w tym jakieś czary...

– Dostałam go od mamy – wyjaśniła Ida.

– A gdzie jest twoja mama?

– Daleko. Martin zdumiał się.

– Jak to daleko?

– Wyjechała z innym panem. Ale czasami pisze do mnie listy, tata mi je czyta, a czasami dostaję od niej ładne rzeczy, które mi przysyła.

Martin bardzo się zaciekawił. Chciał dowiedzieć się więcej, ale nie wiedział, czy wypada mu pytać.

Ida ujęła Martina za ramiona, wyglądała niezwykle poważnie.

– Wiesz, co teraz będziemy robić? – zapytała. – Teraz się prze bierzemy.

Wysunęła szufladę z komody i zaczęła w nieskończoność wyciągać czerwone bluzki z aksamitu, jedwabnej serży i rypsu z kokardkami i tasiemkami, jedwabne pantofelki, rękawiczki, pończoszki i długie tiulowe welony – różowe, białe, niebieskie.

– To też dostałam od mamy... kiedy tańczyła w balecie.

Sięgnęła po zwiewny, jasnoniebieski welon z posrebrzanymi pajątkami i nałożyła Martinowi na głowę. Dostał również czerwoną bluzkę, pasek ze srebrnego kiru i białą spódnicę.

– Ale ty śmiesznie wyglądasz – oceniła go Ida. – Zupełnie jak dziewczynka.

Martin przejrzał się w lustrze, roześmiali się oboje.

– Podejź tu – rozkazała Ida – narysuję ci sadzą wąsy.

Martin nie uważał, żeby wąsy pasowały, skoro miał być dziewczynką. Lecz Ida się tym nie przejęła, okopciła korek nad świecą i narysowała Martinowi duże, czarne wąsy, przy okazji przyczerniła sobie brwi. Znowu spojrzeli w lustro i roześmiali się.

– O, czarne brwi są takie ładne – stwierdziła Ida. – Myślisz, że jestem ładna?

– Tak – przyznał Martin.

Ida miała tysiące pomysłów.

– Jak będziesz teraz naprawdę grzeczny, to urządzimy przyjęcie.

Podeszła do kredensu i wyszukała na wpół wypitą butelkę wina i dwa zielone kieliszki. Nakryła na toaletce i nalała. Martin zrobił wielkie oczy.

– Tata ci pozwala?

– O tak. Tata pozwala mi na wszystko, co chcę. Mój tata jest dla mnie dobry. Twój tata też jest dobry?

– Tak – odparł Martin.

Wznieśli toast i wypili. Wino było dobre, słodkie, miało tak intensywną barwę – ciemna czerwień w zielonym szkle.

Na dworze padał śnieg. Dużymi, ciężkimi płatkami; parapet za oknem był już całkiem biały. Pierwszy tegoroczny śnieg. A w czarnym kościele

biły głośno dzwony: bim-bom, bim-bom.

Martin i Ida klęczeli na krześle, obejmując się za szyje, i przyciskali nosy do szyby.

Ida dolała wina i wzniosła z Martinem toast. Potem zdjęła ze ściany stare skrzypce, zagrała na nich, a grając tańczyła i wywijiała białym welonem. Bardzo dziwnie brzmiała ta jej gra na skrzypcach. Martin zasłaniał uszy, śmiał się, śpiewał i krzyczał. Naraz poczuł swędzenie na plecach. Wtedy przypomniał sobie, co mówiła mama, że Ida Dupont ma pchły.

Martin znalazł się w sypialni i się rozejrzył. W głębi pokoju, w półmroku za dwiema na wpół wypalonymi świecami wisiał obraz Madonny, a poniżej krucyfiks.

Martin wpatrywał się zdumiony.

– Co to jest? – zapytał.

Ida spoważniała i odpowiedziała cicho, niemal szeptem:

– To nasza religia.

Pan Dupont był katolikiem.

– Czekaj, usiądź tam i nie odzywaj się, to nauczę cię naszej religii.

Ida owinęła się różowym tiulem z pozłaczanymi pajetkami. Podeszła do obrazu i zapaliła świece: dwa równe, jasne płomienie. Na półeczce pod krucyfiksem zapaliła kadzidło. Dym wił się długimi niebieskimi smugami pod zasłonami sypialni, a powietrze zrobiło się ciężkie od mocnej, aromatycznej woni.

Madonna promieniała niczym królowa w teatrze czerwienią, błękitem i złotem, a gwiazdy na jej płaszczu skrzyły i mieniły się w blasku świec.

Martin zadrżał z zachwytu.

Ida upadła na kolana przed Madonną. Jej gruby, ciemnorudy warkocz lśnił jak wypolerowana miedź. Mamrotała coś, czego Martin nie rozumiał, i wykonywała przy tym dziwne gesty rękami.

– Co się dzieje? – zapytał Martin. – Dlaczego tak robisz?

– Pst! To nasza religia.

I Ida dalej robiła to samo. W jej dużych czarnych oczach pojawił się migotliwy blask. Martin czuł, że głowa dziwnie mu ciąży.

– Dołącz do mnie – poprosiła Ida. – Nie uważasz, że to piękne?

Martin usiadł na brzegu łóżka i próbował naśladować gesty Idy. Lecz szybko zaczęła mu opadać głowa. Była taka ciężka, taka ciężka...

Na dworze wciąż padał śnieg i biły dzwony: bim-bom, bim-bom...

Kiedy pan Dupont wrócił do domu, zastał dzieci śpiące na łóżku. Świece wypaliły się do końca.

IV

Jesień nadciągała na ziemię i w mieście, w którym Martin mieszkał, domy były szare i czarne od deszczu i dymu, dni stawały się coraz krótsze.

Gdy przychodziło popołudnie i zapadał zmrok, ojciec Martina Bircka siedział często przy kominku i patrzył w ogień. Nie był już młody. Miał gładko wygoloną twarz o ostro zaznaczonych rysach, jak aktor albo pastor; uśmiechał się do siebie, nic nie mówiąc, w sposób, który wzbudzał respekt i lekkie uczucie niepewności. Lecz kiedy się tak uśmiechał, w rzeczywistości wcale nie naigrawał się ze słabości czy szaleństwa bliźnich, albowiem szyderstwo nie leżało w jego usposobieniu – uśmiechał się tylko na wspomnienie anegdoty, którą przeczytał rano w gazecie, lub paru psów, które czekały na lwa koło pomnika Karola XIII, gdy w porze obiadowej wracał przez plac z urzędu. Ojciec Martina Bircka był mianowicie urzędnikiem. I chociaż nie miał wysokiej pensji ani nie posiadał majątku, potrafił tak gospodarować, że mógł ze swoją rodziną prowadzić dość beztroską egzystencję, znajdował bowiem upodobanie jedynie w niewinnych i prostych przyjemnościach i nie był na tyle próżny, by szukać towarzystwa tych, którzy przewyższali go majątkiem lub pozycją. Był synem rzemieślnika i gdy zdarzyło mu się zastanawiać nad swym losem w życiu, nie porównywał go z losem przełożonych czy zamożniejszych kolegów, lecz przypominał sobie ubogi dom, w którym wyrósł. I wtedy uznawał, że spotkało go szczęście, i miał tylko jedno życzenie, by to szczęście, które stało się jego udziałem, nigdy nie zostało zakłócone. Kochał żonę i dzieci, a nade wszystko cenił sobie swój dom. Gdy był wolny od urzędniczych obowiązków, lubił majsterkować. Reperował

zepsute meble, umiał prowizorycznie naprawić stary zegar kuchenny z namalowanymi na tarczy kwiatami i z dużymi mosiężnymi ciężarkami na łańcuchach. Robił też ucieszne i przemyślne zabawki dla swoich dzieci i drobne uroczyste ozdoby na urodziny dla żony. Wśród nich była mała świątynia z białego kartonu, przystrojona wąskimi złotymi szlaczkami, a za półkolem smukłych kolumn znajdowało się lustro, które wydawało się podwajać ich liczbę. Na szczyt świątyni, zwieńczony balustradą z papieru marmurkowego, prowadziły kręte schody, także z kartonu, przybrane marmurkiem. W najniższym stopniu mieściła się szufladka, którą można było wyciągnąć. W tej szufladce mama Martina znajdowała każdego roku w swoje urodziny zwinięty banknot albo coś z drobnej biżuterii.

Ojciec kochał także muzykę i śpiew. Lubił śpiewać „Glunty” ze swoim dawnym kolegą ze studiów, wujkiem Abrahamem, który czasami przychodził w odwiedziny. Potrafił improwizować na fortepianie i zagrać ze słuchu kilka fragmentów ulubionych oper.

Natomiast rzadko coś czytał poza swoją gazetą.

Mama Martina Bircka często, kiedy zapadał zmierzch, grała na fortepianie i śpiewała. Jej głos brzmiał piękniej od wszystkich innych głosów. Śpiewała piosenki, których już nikt nie śpiewa. Martin i Marysia stawali wówczas za krzesłem i słuchali zachwyceni, a chwilami próbowali również śpiewać razem z nią. Piosnkę o żołnierzu

chowającym manierkę, z której dał się napić na polu bitwy umierającemu księciu. „I książę z niej pił”. To był refren. Piosnkę o pasterce, która pasła swoje stadko w wąwozie między stromymi turniami. Słysząc było łoskot lawiny i dziewczynka popędzała stadko: „Biegnijcie, biegnijcie, owieczki me!”. A gdy mama śpiewała, jej ręce przesuwały się po pozółkłych klawiszach – kruchy kryształowy tembr strun mieszał się z westchnieniami i żałami pedału. Jedna z basowych strun była pęknięta i furkotała od czasu do czasu.

A kiedy mama skończyła śpiewać, pojawiało się wtedy uczucie wielkiej pustki.

Martin wałęsał się bez celu. Odnosił wrażenie, że pokoje były większe i bardziej puste po zapadnięciu zmroku.

W końcu zwracał się do babci, która czytała „Dagbladet” przy oknie.

– Babciu kochana, niech babcia opowie bajkę – prosił.

Lecz babcia nie znała żadnej nowej bajki. A stare Martin słyszał już tyle razy. Babcia dalej czytała gazetę z okularami na czubku nosa.

– Na rany Chrystusa – powiedziała nagle, podnosząc wzrok – widzieliście, że panna Oldthusen nie żyje?

– Niemożliwe, nie żyje? – zdziwił się ojciec Martina. – Czyżby to była siostra radcy?

– Nie, na Boga, jego ciotka. Miała na imię Pella, Pella Oldthusen. Doskonale ją pamiętam, spotkałyśmy się w Vaxholm wiele lat temu. Pierońsko żwawa i wesoła staruszka, tyle że miała lepkie ręce. Jej

znajomi mawiali: „Kochani, nie zostawiajcie dziś wieczorem nic na wierzchu, bo przychodzi Pella Oldthusen!”. Mieszkała u niej dziewczynka, którą przygarnęła. Kiedy małą trzeba było wyszykować do pierwszej komunii, panna Oldthusen ukradła swojej starej służącej halki, które wisiały w tej samej garderobie co jej własne ubrania, i kazała z nich uszyć sukienkę dla dziewczynki. Tak, to święta prawda, sama słyszałam od pewnej kobiety, która bardzo dobrze znała Pellę i całą rodzinę. „Droga pani”, powiedziała później służąca, bo służyła u panny Oldthusen od wielu lat i znała jej przywary, „droga pani, w garderobie buszowali złodzieje! I proszę pomyśleć, co za pech: ukradli wszystkie moje halki, ale nie panine, choć wiszą zaraz obok moich”. „Czy można wyobrazić sobie takich łajdaków?”, odparła Pella. „To strasznie przykre, ale nic nie mogę poradzić”. Wszelako jakiś czas potem dała służącej pieniądze na nowe halki – była majątna i nie należała do skąpych. Tyle że dziewczynka poszła do Pańskiego Stołu w kradzionej sukience.

Martin i Marysia słuchali z szeroko otwartymi ustami. W ten sposób babcia opowiedziała jednak bajkę. A znała takich bajek bez liku.

Ojciec zapalił cygaro i przysunął fotel bliżej ognia. Po czym skinął na Martina i Marysię.

– Chodźcie, dzieci, pobawimy się.

Ogień niemal wygasł. Ojciec rozłamał dwa lub trzy pudełka po zapalkach i z tekturek zbudował dom na samym przodzie kominka.

Wykorzystał też trochę zapalek na kolumny i belki, a na koniec zwinął w stożek kawałek sztywnego papieru – to była wieża. Na czubku stożka wyciął dziurkę na komin. Wyszedł wspaniały zamek z krużgankami, iglicami i wieżami, zupełnie jak stary sztokholmski zamek w „Svecii” Dahlberga. A kiedy był gotowy, ojciec podłożył ogień we wszystkich rogach.

Skwierczało, trzaskało i paliło się.

– No nie, patrz... patrz, jak się pali! Teraz ogień łapie w najdalszym rogu. Teraz pali się wschodnie sklepienie, teraz się zapada! O, wieża się pali – przewraca się...

Już po wszystkim.

– Jeszcze raz, tato – prosił Martin – jeszcze raz! Tylko jeden raz!

– Nie – ojciec odmówił. – Za drugim razem nie jest zabawnie. Martin błagał i prosił. Lecz ojciec odszedł do fortepianu i po głaskał żonę po włosach.

Martin siedział dalej przed kominkiem. Piekło go w policzki, ale nie mógł się oderwać. Tam w głębi tak pięknie się żarzyło. Tliło się, żarzyło i paliło.

W końcu przyszła babcia, zasunęła szyber i zamknęła drzwiczki. Wtedy Martin podszedł do okna.

Słońce dawno zaszło. Na chwilę się przejaśniło, lecz ciemne masy chmur nadal przeciągały nierównymi rzędami przez cienki, szklisty

błękit. „Długa Szeregówka” pogrążyła się w głębokim cieniu. Klony i wiśnie w ogrodach pozbawione były liści, a tu i ówdzie przez ciemną plataninę gałęzi przebijało się już światło z okna. W dole ulicą szedł latarnik i zapalał lampy – był stary, zgarbiony i nosił skórzaną czapkę, która zachodziła mu głęboko na czoło. Podeszedł teraz do latarni naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, a kiedy ją zapalił, cały pokój pojaśniał. Biała koronkowa firanka odcisnęła swój załamany wzór na suficie i ścianie, a kalijki, fuksje i agapanty namalowały fantastyczne cienie.

Ściemniało się coraz bardziej.

Z góry można było tak daleko sięgnąć wzrokiem, daleko poza stare kwartały z niskimi drewnianymi domami i ogrodami. Widać było Humlegarden z dachem rotundy między nagimi wiekowymi lipami. A na zachodzie wznosił się szary kontur: obserwatorium na wzgórzu.

Głęboki i jałowy błękit październikowego nieba stał się jeszcze głębszy i bardziej wyjałowiony. Na zachodzie przechodził w czerwień, która wydawała się brudna od sadzy i mgły.

Martin rysował palcem figury na zaparowanej szybie.

– Czy zaraz będzie Gwiazdka, babciu?

– Oj, jeszcze trochę, dziecko...

Martin długo stał z nosem przyciśniętym do szyby i wpatrywał się w niebo, melancholijne wieczorne niebo, bladoczerwone pośród szarych chmur.

Lecz kiedy paliła się lampa i każdy siedział przy okrągłym stole ze swoją robótką, książką czy gazetą, Martin odchodził i siadał w kącie. Ogarniał go bowiem z nagłą smutek, choć nie wiedział, dlaczego. Z ciemności wpatrywał się w krąg żółtego światła, w którym pozostali siedzieli razem, pracowali lub rozmawiali, i czuł się wykluczony, porzucony i zapomniany.

Nie pomagało, że Marysia wyszukiwała stary rocznik „Nar och Fjarran”, by pokazać mu Garibaldię, wojnę w Polsce i cesarza Napoleona o ostrym wąsie – widział to wszystko wiele razy. Nie pomagało również, gdy dawała kawałek papieru i uczyła składać w solniczkę, wrone i dwa szczipione statki, albowiem Martin, nie wiedząc o tym, tęsknił tylko za czyimiś słowami lub gestami, które pozwoliłyby mu się rozplakać. Dlatego siedział markotny i milczący i słuchał deszczu chłuszczącego szybę, rozpadało się bowiem na nowo, a wiatr wstrząsał oknem.

– Tak – usłyszał naraz ojca mówiącego do mamy – może masz rację, że powinniśmy spróbować sprzedać ten fortepian i kupić w zamian pianino na raty. Nawet nie trzyma strojenia przez dwie niedziele, a pianino jest też ładniejszym meblem.

Martin wzdrygnął się na słowa „sprzedać fortepian”. Nie wiedział

właściwie, jak wygląda pianino, ale nie sądził, że może to być rodzaj fortepianu; wyobrażał sobie raczej coś z korbką. Nie wierzył, że z jakiegokolwiek innego instrumentu może wydobywać się tak piękna muzyka, jak z ich fortepianu. Zaprzyjaźniony był z każdym wgnieceniem i zadraśnięciem na czerwonej mahoniowej okleinie, ponieważ sam spowodował większość z nich, i rozpoznawał prawie każdy klawisz po charakterystycznej barwie dźwięku. Sprzedać fortepian! Brzmiało to w jego uszach jak coś niemożliwego. Niemal tak, jakby słyszał rodziców rozważających spokojnym głosem, czyby nie sprzedać babci i nie kupić w zamian ciotki.

Martin już płakał, choć jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Mamo – powiedziała Marysia – Martin płacze!

– Dlaczego płaczesz, Martin? – zapytała mama. Martin tylko zatkał.

– Jest zmęczony i śpiący – wyjaśniła babcia. – Najlepiej będzie, jak się położy.

Podczas gdy Martin, szlochając, obchodził wszystkich i mówił dobranoc, weszła Lotta z herbatą na tacy. Miała bardzo uroczystą minę, kiedy oznajmiła:

– Muszę państwu powiedzieć, że Haggbom umarł.

W pokoju zrobiło się zupełnie cicho. Martin przestał płakać. Babcia złożyła ręce.

– Nie, naprawdę z nim koniec? Poszło tak szybko... Boże, koniec z nim? No tak, wódka... Chociaż dla niego chyba lepiej, że już umarł,

tylko że żona będzie miała biednie – ostatecznie był stróżem i utrzymywał ją i dzieci.

– Umarł dokładnie o siódmej – powiedziała Lotta.

Ponieważ nikt nie odpowiedział, wyszła z powrotem do kuchni.

– Może dobrze byłoby puścić listę wśród sąsiadów i zorganizować małą zbiórkę – zaproponowała mama.

Martina posłano do łóżka. Mama usiadła na brzegu i odmówiła z nim modlitwy – zadowolila się „Bogiem dzieci”, bo był bardzo zmęczony. Normalnie odmawiał też „Ojcze nasz” i „Boże, pobłogosław”.

Martin długo nie mógł zasnąć i słuchał deszczu pluskającego o parapet. Wcale nie był śpiący, tak tylko powiedział, żeby uniknąć odmawiania długich modlitw, których nie rozumiał. Małe dziecko nie jest bowiem w stanie wyobrazić sobie, co kryje się pod takimi zwrotami jak: „święć się imię Twoje” albo „przyjdź królestwo Twoje”. Leżał i myślał o Haggbomie, i zastanawiał się, czy stróż pójdzie do nieba. Przecież zawsze czuć było od niego wódką.

Martin bał się ciemności. Kiedy Lotta weszła po coś z zapaloną świecą, poprosił, żeby ją zostawiła.

– Martin niech śpi – powiedziała Lotta – bo inaczej przyjdzie Haggbom i go ugryzie.

I wyszła, zabierając świecę ze sobą.

Martin rozplakał się na nowo. Wiatr świszczwał w szparach okien, od

czasu do czasu jakaś brama zatrzaskiwała się z hukiem, na dworze był pies. Zanim mama opuściła rolety, Martinowi wydało się, że na niebie widniała czerwona poświata. Może na Söder wybuchł pożar...

Z ulicy dochodziły wrzaski i odgłosy kłótni. Pijani ludzie wychodzący z szynku, bijatyka i krzyki. Ciężkie kroki na bruku, ktoś biegnący i ktoś w pościgu, wołanie „Policja, policja!”.

Martin naciągnął koldrę na głowę, a płacz utulił go do snu.

VI

Nadeszła biała zima, z dźwięczeniem dzwonek, śniegiem i lodowymi kwiatami na szybie. To kwitną ponownie zwiędłe letnie kwiaty, powiadała mama Martina. Świerkowe lasy zza wiosek nadciągały z ciemności i samotności na ulice i place miasta, a gdy bożonarodzeniowe dzwony obwieściły święto, także w domu Martina stało ciemne i liche drzewko i pachniało lasem, aż przyszedł wieczór i wtedy mieniło się światełkami, białymi i kolorowymi światełkami, wisiały na nim czerwone jabłka i czekoladki z sentencjami tak głupimi, że nawet Martin i Marysia zdawali sobie sprawę, jakie są głupie. Cała wspaniałość Bożego Narodzenia przesuwała się przed oczami, jakby odwracało się stronicie ilustrowanej książki, a kiedy noworoczna gwiazda płonęła nad białymi dachami i mówiono sobie dobranoc, i dziękowano za poprzedni rok, Martin wzdrygał się na myśl o szarych zimowych

dniach, które miały nadejść, a których końca nie widział – do lata było bowiem tak nieskończenie daleko, a jeszcze dalej do następnej Gwiazdki. W Nowy Rok obudzono go, gdy jeszcze było ciemno, bo szli na poranne nabożeństwo. Zaspany człapał przez śnieg u boku rodziców, a gdy skręcili za róg, stanął przed nimi niczym olbrzymia latarnia ladugardslandzki kościół, rzucając światło na biały plac, na który ludzie ściągali ze wszystkich stron poprzez śnieg. W kościele grały organy, śpiewano, migotały świece, a Martin czuł się dobry i szczęśliwy i myślał, że to właśnie jest najlepszy sposób, żeby zacząć nowy rok – a gdy ksiądz przystąpił do kazania, Martin zaraz zasnął. Kiedy się obudził, blade światło świtu zaglądało już przez okienka w kopule, a mama potrząsnęła nim mocno i powiedziała: – Teraz pójdziemy do domu i napijemy się kawy.

I wracało się do domu z sercem pełnym najpiękniejszych postanowień, albowiem Martin sam z siebie rozumiał, że właśnie o tym ksiądz mówił na kazaniu. Przed południem Martin i Marysia zostali wysłani w noworoczne odwiedziny do wujka Jannego i cioci Lovisy, do innych ciotek i wujków; częstowano ich ciastkami i winem, i czekoladkami z choinek. Lecz u wujka Abrahama nie było choinki, nie miał bowiem dzieci, owdowiał i mieszkał sam ze starą gosposią. Wujek Abraham był doktorem i wiele razy leczył Martina i Marysię, na odrę, szkarlatynę i ból w piersiach. Miał czarną brodę i długi krzywy nos – był Żydem. Miał też papugę, która umiała przeklinać po francusku,

i czarnego kota. Kot wabił się Kolmodyn i był najmądrzejszym kotem na świecie, bo kiedy stał pod drzwiami na korytarzu i chciał wejść do środka, nie miauczał jak inne koty, tylko unosił się na tylnych łapach, wpijał pazury w sznur od dzwonka i bardzo mocno ciągnął.

Kiedy w ten noworoczny dzień Martin i Marysia przyszli życzyć wujkowi Abrahamowi szczęśliwego Nowego Roku, siedział samotnie z butelką wina na stole i grał sam ze sobą w szachy.

Pokój był duży, pogrążony w półmroku, pełen książek. Na dworze śnieg padał wielkimi płatkami. Wujek Abraham napchał im kieszenie łakociami, pozwolił papudze poprzeklinać po francusku i w ogóle był bardzo miły – lecz mówił mało; przed ogniem żarzącym się w piecu tkwił kot Kolmodyn i wpatrywał się ponuro w swego pana. Martin i Marysia siedzieli milczący, spoglądali na siebie i czuli się nieswojo. Niejednokrotnie słyszeli bowiem, jak rodzice mówili, że wujek Abraham nie jest szczęśliwy, że nigdy tak naprawdę się nie cieszy.

VII

I tak nastał nowy rok. Kalendarz, który Martin dał tacie na gwiazdkę, miał czerwone okładki, a stary – niebieskie. Martin ze zdumieniem i rozczarowaniem odkrył, że była to jedyna różnica, jaką mógł dostrzec, między rokiem nowym a starym, że dni mijały jak wcześniej, wypełnione biciem dzwonów, śniegiem i zachmurzonym niebem, nudą

przy starych zabawach i znanych bajkach i pragnieniem, żeby być dużym. W tym czasie pragnął tego, ale i się bał. Bo mama pokazywała często szmaciarza, który pamiętał lepsze dni, i mówiła, że jeśli Martin nie zje kleiku albo kaszki i nie będzie grzecznym i dzielnym chłopcem, to jak dorośnie, zostanie takim właśnie szmaciarzem. Lecz kiedy mama tak mówiła, coś go ścisnęło w piersi i widział siebie samego, jak o zmierzchu wślizguje się przez bramę z workiem na plecach i grzebie w śmietniku czarnym kijem, podczas gdy tata i mama, siostra i babcia siedzą jak dawniej razem wokół lampy. Nigdy bowiem nie przyszło mu do głowy, że jego dom może zniknąć, że domownicy mogą się rozproszyć.

Padał śnieg, dużo śniegu. Zasyły rosły, przyszedł trzaskający mróz. Martin musiał siedzieć w domu z elementarzem i tabliczką mnożenia, farbami i pajacykami, i całą resztą tych wyblakłych już wspaniałości, które zostawiło po sobie Boże Narodzenie. Wśród pajacyków był jeden, zwany Czerwonym Turkiem, którego Martin lubił bardziej od pozostałych, ponieważ wujek Abraham – to on dał mu go w prezencie – powiedział, że to najzabawniejszy pajacyk na świecie. „Widzisz”, rzekł pewnego wieczoru, „w gruncie rzeczy nie ma nic śmiesznego ani dziwnego w tym, że pajacyk porusza się, kiedy ciągnie się za sznurki. Ale Czerwony Turek nie jest zwykłym pajacykiem, on myśli i ma swoje zdanie zupełnie jak my. Gdy ciągniesz za sznurki i zaczynasz nim poruszać, mówi do siebie: «Jestem istotą o wolnej woli, poruszam się,

jak chcę, i wyłącznie dla własnej przyjemności, hej, nie ma nic weselszego od podskakiwania!» Lecz kiedy przestaniesz ciągnąć za sznurki, uznaje, że jest zmęczony, i powiada do siebie: «Gwiżdżę na skakanie, najlepiej jest wisieć na kołku i pozostawać bez ruchu.» Tak, to najzabawniejszy pajacyk na świecie!”.

Martin niewiele z tego pojął, ale zrozumiał, że Czerwony Turek jest zabawny, dzięki czemu miał dla niego większą wartość niż wcześniej.

Tak mijały dni, a od Trzech Króli zaczęły się małe przyjęcia rodzinne z rozbieraniem choinek, teatrami cieni, teatrzykami lalkowymi, z barwnymi obrazami *laterna magica* na upiornie białych prześcieradłach. W drodze do domu skrzyły się gwiazdy, a ojciec pokazywał niebo i mówił: „Tam jest Droga Mleczna, a tam Wielki Wóz”.

VIII

Któregoś ranka po obudzeniu Martin zobaczył, że niebo lśniło jaśniejszym błękitem niż od bardzo dawna, a z dachów i nagich gałęzi gruszy kapało. Gdy tak siedział wyprostowany na łóżku i spoglądał w ten jasny błękit, weszła Marysia z witką, która wydawała się zakwitać setkami kolorów, lecz nie były to kwiaty, tylko barwne piórka. Marysia uderzyła go witką, zatańczyła i zaśpiewała, że są zapusty i ona ma wolne

ze szkoły, hurra! A na deser będą semle, bułki z masą migdałową w środku.

Wzięli piórka z witki, przybrali się w nie i bawili w Indian i blade twarze, tyle że oboje byli Indianami.

Lecz witkę wzięła mama i wstawiła do wazonu z wodą na oknie, wprost na słońce. Pokój leżał bowiem od wschodu, oświetlany porannym słońcem. I oto nie minęło wiele dni, a na gałązkach tu i ówdzie pojawiły się małe brązowozielone pąki, nabrzmiwały, były coraz większe, aż któregoś dnia pękły i przeobraziły się w pomarszczone jasnozielone liście, cała witka zazieleniła się – teraz nastawa wiosna.

Któregoś popołudnia do salonu położonego od zachodniej strony wpadł promień słońca.

– Zobaczcie, dzieci, słońce – powiedziała mama. – Nasze pierwsze popołudniowe słońce w tym roku.

Promień padł na kryształowe szkiełka żyrandola, załamał się i rozsiał plamki w kolorach tęczy po całym pokoju, na meblach i tapetach. Ojciec przechodził właśnie przez salon – lekkim uderzeniem dłoni wprowadził trójkątne szkiełka w ruch. Barwne plamki zawirowały i zatańczyły na ścianach niczym fruujące motyle. Martin i Marysia ruszyli za nimi w pościg. Od biegania zgrzali się i poczerwienieli. Uderzali rękami w ściany, a kiedy widzieli, że słoneczna plamka rysuje się na ich dłoni, a nie na tapecie, krzyczeli z zachwytem: – Mam ją!

Ale w następnej sekundzie ześlizgiwała się. Promień powoli zblakł, a motyle zmęczyły się lataniem i pobłykiwaniem i przepadły – Martin widział, jak ostatni gaśnie na jego dłoni.

Lecz nie, to nie była jeszcze wiosna.

Znowu spadł śnieg, mokry śnieg, który szybko topniał i szybko się brudził, znowu były dzwony w czarnej kopule pod szarym niebem i był Wielki Piątek. Martin i Marysia poszli do kościoła, ale nie mogli siedzieć razem z rodzicami, bowiem ci usiedli daleko w prezbiterium wśród ubranych na czarno i poważnych ludzi; sami też byli ubrani na czarno – ojciec we fraku i białym szaliku – i wszystko było czarne: czerwony materiał z kazalnicy i ołtarza zniknął, zastąpił go czarny, księża mieli czarne ornaty, czarny krzyż wznosił się groźnie z ołowianych chmur retabulum w mrocznej głębi prezbiterium, a czarnoszare niebo zaglądało przez okienka w sklepieniu kopuły. Martin nie mógł zasnąć, jak miał w zwyczaju, albowiem wszystko było takie straszne, chorał żalił się i uskarżał, ksiądz wyglądał złowrogo i ponuro i mówił o krwi, jakiś pies wył na przykościelnym cmentarzu...

Martin był tym wszystkim zachwycony, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nie, wiosna, ta prawdziwa wiosna... Ona przyszła dopiero wtedy, gdy królewscy wyjeżdżali do Djurgarden w złotych zaprzęgach i pióropuszech. Jakże wszystko błyszczało tego dnia, jakże lśniło błękitem, słońcem i wiosną nad kominami i dachami, wokół kurka na

wieży kościelnej! Na ulicy Martina zakwitały już klony, a nad pochyłymi parkanami unosiły się obłoki białego kwiecia wiśni i głogu. Na rynku i Storgatan roiło się od ludzi, całe miasto wyległo w jasnych i kolorowych ubraniach, przed koszarami Gwardii Królewskiej jasnoniebiescy gwardziści, których Martin uwielbiał i darzył szacunkiem, stali na warcie z wyciągniętymi szablami. Królewscy przejechali w otoczce złota i strusich piór, przechodnie wiwatowali i Martin też wiwatował, a potem poszedł z rodziną do Djurgarden napić się wody z sokiem w Bellmansro. Dookoła zawodziły skrzypki i pozytywki i Martin czuł się szczęśliwy. W drodze powrotnej zatrzymali się na chwilę, żeby popatrzeć na teatr Kaspra. Na dworze zaczęło się już ściemniać, ale ludzie wciąż zbierali się wokół lalkowej sceny, gdzie Kasper zabijał właśnie żonę.

Martin przytulił się mocno do mamy. Widział w półmroku usta otwierające się do szerokiego śmiechu, nic nie rozumiał, ale odgłos uderzeń drewnianej pałki o lalczyną głowę przerażał go – śmiano się z tego, że tamten zły człowiek bił swoją żonę? Pojawił się wierzyciel i jego Kasper też zabił, z policjantem i diabłem obszedł się równie brutalnie, aż w końcu Śmierć zwabiła go do swojego kotła i to był koniec. Martin nie śmiał się ani też nie płakał, tylko zdumiony i przerażony spoglądał w ten nowy świat, tak odmienny od jego własnego. W drodze do domu zmarzł, był zmęczony. Słońce zaszło i robiło się coraz ciemniej; król dawno pojechał do siebie do zamku, na

ulicy pijani ludzie wrzeszczeli i przepychali się. Zawilce, które Martin zebrał na skraju lasu, zwiędły, więc wyrzucił je na pastwę brudu i podszew.

Kiedy w końcu znaleźli się w domu i zapadła noc, a Martin zasnął w swoim łóżku, śniło mu się, że ojciec bił mamę po głowie wielką pałką.

IX

Letnie niebo i letnie słońce, biały dom wśród zielonych drzew...

W tym białym domu rodzice Martina wynajęli kilka niskich pokoi z chybottliwymi białymi meblami i najbardziej na świecie niebieskimi roletami w małych kwadratowych oknach. Tuż za tymi oknami przebiegał trakt królewski. Ciągnęli tędy nieprzerwanie chłopci na furach i podróżni z wysp Melaru w drodze z i do miasta i wszyscy zatrzymywali się tutaj, żeby zapłacić myto, albowiem biały dom należał do mostowego i stał przy samym przyczółku mostu Nockeby. Mostowy siadywał każdego wieczoru na ganku oplecionym pnączami chmielu, popijał grog i wyciągał ku podróżnym swoją puszkę, opowiadał zmyślane opowieści, ponieważ był kiedyś kapitanem żeglugi i odwiedził wiele obcych krajów. Teraz był siwowłosym staruszkciem, od wielu lat dzierżawił most i należał do majątnych ludzi.

Pierwszego dnia wieczorem, gdy skrzynie, kufry i kosze z ubraniami stały jeszcze bezładnie po pokojach, które wyglądały wprawdzie trochę

obco, ale gdzie każda szafka i krzesło, każdy kwiat na tapecie wydawały się mówić: szybko się poznamy, gdy kolacja – masło, ser i parę smażonych rybek – stała przyszykowana pod oknem, Martin w milczeniu siedział na brzegu kufra i spoglądał na obcy, nowy obraz: szary gościniec ze słupami telegraficznymi, w których śpiewał wiatr, ciemne sylwetki koni, wozów i chłopów na tle zielononiebieskiego zachodniego nieba. Po drugiej stronie drogi, nieco na uboczu, znajdowało się wzgórze z kilkoma dębami, których potężna, ciężka zieleń odznaczała się w zmierzchu letniego wieczoru, a pośród tych dębów był jeden, który stał nagi i czarny i nie mógł się zazielenić jak pozostałe, to w jego gałęziach wrony uwiły sobie gniazdo.

Martin nie mógł oderwać oczu od tego czarnego drzewa z wronim gniazdem w gałęziach. Wydawało mu się, że zna to drzewo, że widział je wcześniej lub słyszał o nim jakąś opowieść.

I śniło mu się ono w nocy.

Letnie niebo, letnie dni. Zielone łąki, zielone drzewa...

Łąki usiane były kwiatami, które Martin z Marysią zbierali i wiązali w bukiety dla mamy. Marysia powiedziała do Martina: „Uważaj na żmije! Jak nadepniesz na żmiję, będzie myślała, że zrobiłeś to celowo i cię ukąsi”. Martin stąpał tedy w wysokiej trawie tak ostrożnie, jak się dało. Siostra nauczyła go również, że wielkim grzechem jest zrywanie białych kwiatów poziomek, ponieważ to z nich powstają owoce.

Umówili się, że kto pierwszy zobaczy biały kwiat, ma powiedzieć: „Zamawiam go!”. A kto „zamówi”, będzie miał prawo zerwać poziomkę, kiedy dojrzeje. Gdy dotarli do wzgórza pod dębami, było tam biało od kwiatów. Marysia dostrzegła je pierwsza i szybko zawołała: „Zamawiam wszystkie!”. Lecz gdy zobaczyła, że Martin posmutniał, zaraz zaproponowała, żeby podzielili się skarbem; przeciągnęli więc w pamięci linię od drzewa do drzewa, dzieląc w ten sposób całe wzgórze na pół. Po prawej stronie rosły poziomki Marysi, a po lewej Martina. Potem usiedli w cieniu pod jednym z dębów i układali zerwane kwiaty, tak jak wyglądało najładniej; Marysia nauczyła Martina wkładać piękną sercowatą drzączkę między złocienie i jaskry i wiązać bukiet długimi źdźbłami. Martinowi kwiaty prędko się jednak znudziły, zapomniał, że zebrał je dla mamy, rzucił wszystkie na trawę, położył się wśród nich na plecach i zaczął przyglądać się obłokom przeciągającym po błękitnym niebie wysoko nad jego głową. Przypominały białe psy – małe, kudłate, białe psy. Może zresztą nimi były. Ludzie, kiedy umrą, idą przecież do nieba, ale psy, które nie mają prawdziwej duszy, raczej nie mogą dostać się na samą górę. Wolno im biegać i bawić się na zewnątrz. Właściciele wychodzą chyba do nich od czasu do czasu i wtedy pieski skaczą na swoich panów, liżą ich i są takie rozradowane...

Białe obłoki, letnie obłoki.

Lecz najwięcej radości dostarczały długi most i jezioro, i parowce,

które już z daleka wydawały gwizd, żeby most się otworzył i je przepuścił. Martin szybko nauczył się je rozpoznawać: „Fyris” i „Garibaldi”, „Brage”, który nigdy się nie śpieszył, piękny niebieski „Tynnelsö” i brązowy „Enköping”, nazywany młynkiem, ponieważ perkotał jak zgniatane ziarenka kawy. Każdy statek miał dla niego swój charakterystyczny wyraz twarzy, tak że rozróżniał je z daleka. Służyły mu też za zegar. Kiedy most mijał „Tynnelsö”, czas było udać się do domu na śniadanie, a gdy „Runan” świszcział swym zachrypłym gardłem, oznaczało to, że niedaleko był „Brage”, a wraz z nim z miasta wracał tata. Pływały tam też holowniki ciągnące długie rzędy barek, które często zaczepiały się o przęsła mostu, a nie było nic zabawniejszego na świecie od słuchania, jak barkowi przeklinają. W te dni, gdy jezioro stawało się zielone, pokrywało białą pianą, a fale rozbryzgiwały się wysoko na moście, żadne parowce nie mogły konkurować o pierwsze miejsce w sercu Martina ze skutami Roslagenczyków. W każdym szyprze widział bohatera, który stawiał czoło falom i sztormowi, żeby dotrzeć do nieznanego i tajemniczego celu; bo nigdy nie był skłonny uwierzyć, iż żeglowali tylko do Sztokholmu, żeby sprzedać drewno, siano czy gliniane naczynia, które mieli na pokładzie. Te rzeczy wszakże mniej go pociągały, nie mógł bowiem wbrew swej woli oprzeć się mglistemu podejrzeniu wobec szypra o taki czy inny nieczny zamiar, toteż w głębi serca najbardziej lubił te skutki, które przyływały puste z miasta. One też najbardziej

chwacko tańczyły na falach i kierowały się ku miejscom, gdzie Martin nigdy nie był, daleko za Tyska Botten i Blackeberg – tam przebiegała granica znanego świata.

Tam też w mieniącej się czerwienią ziemi obiecanej każdego wieczoru zachodziło słońce. Martin był całkowicie pewien, że zachodziło właśnie tam, zaraz za cyplem, a nie w jakimkolwiek innym miejscu. Widział to przecież tak wyraźnie. Wszelako nie wyobrażał sobie, żeby ci, którzy tam mieszkali, mieli słońce na wyciągnięcie ręki albo musieli się bać, że spadnie im na głowę. Gdyby inny chłopiec przyszedł do niego i tak twierdził, Martin uznałby, że jest bardzo głupi. Albowiem z dziećmi jest zupełnie jak z dorosłymi: czynią sobie najdziwaczniejsze wyobrażenia o świecie, lecz gdy ktoś wyciąga wnioski z ich poglądów, mówią, że jest bardzo głupi albo że to nieładnie naśmiewać się z poważnych rzeczy.

Letni czas, czas poziomek...

Za tamtych dni lato było inne niż teraz. Było szczęściem, które wypełniało dzień i wieczór, docierało aż do nocnych snów, a i rano był uosobieniem szczęścia. Któregoś ranka Martin obudził się wcześniej niż zwykle, a gdy usłyszał ptaszka ćwierkającego za oknem w żywopłocie z ligustru i zobaczył, że świeci słońce, usiadł na łóżku i chciał ubrać się i wyjść. Wtedy przyszła mama i powiedziała, żeby jeszcze trochę poleżał, ponieważ są jego urodziny i Marysia przygotowuje coś na

dworze, czego nie wolno mu zobaczyć, dopóki nie będzie gotowe. Pocałowała go i powiedziała, że kończy siedem lat i że w te wakacje powinien być szczególnie pilny i grzeczny, żeby nie musiał wstydzić się przed innymi chłopcami jesienią, kiedy pójdzie do szkoły. Lecz gdy Martin usłyszał słowo „szkoła”, zapomniał o ptaszku ćwierkającym w żywopłocie, o słońcu, które świeciło, i poczuł taki ucisk w gardle, jakby miał się rozplakać, lecz opanował się i nie rozplakał. Nie wiedział dokładnie, co znaczy „szkoła”, ale brzmiało to tak nieprzyjemnie i twardo. Jego mama urządzała wprawdzie szkołę dla niego i Marysi, ale była to tylko krótka chwila codziennie w ogrodzie w oplecionej bzm altance, a tam fruwały motyle, żółte, białe i niebieskie, brzęczały trzmielce, podczas gdy mama opowiadała mu historie o Józefie w Egipcie, o królach i prorokach i uczyła go formować litery według wykaligrafowanego wzoru. Rozumiał, że prawdziwa szkoła musi być czymś zupełnie innym. Gdy tak z całego serca zamartwiał się, że jesienią musi pójść do szkoły, weszli wszyscy, tata i babcia, i Marysia, i złożyli mu życzenia z okazji urodzin, Marysia teatralnie dygnęła, mówiąc: „Szczęścia i pomyślności!” – Martin zawstydział się, zaczerwienił i odwrócił do ściany.

Wtedy zostawiono go samego. Lecz nie trwało długo, nim babcia zajrzała do pokoju i zawołała, że król nadjeżdża konno z piętnastoma generałami, żeby złożyć Martinowi życzenia, i w tej samej chwili usłyszał dudnienie na moście, jakby nadchodziła burza. Zerwał się

z łóżka, narzucił na siebie ubranie, dudnienie zaś zbliżało się, nad drogą unosiła się chmura pyłu, końskie podkowy tętniły na ziemi i moście, błyszczała biała broń. Gdy wyszedł na werandę, czoło było już daleko w przodzie, ale mama pocieszyła go, że król tym razem nie jechał. Za to niemal całe jego wojsko, bo w okolicy Drottningholm miały odbyć się manewry. Ciągnęli huzarzy i dragoni, i cała artyleria ze Sztokholmu, a artylerzyści trzęśli się na swoich wozach jak worki z ziemniakami, szarzy i czarni od brudu i kurzu. Lecz Martin podziwiał ich przez to jeszcze bardziej i rozważał cicho w duchu, czy jednak nie lepiej byłoby zostać artylerzystą niż szyprem.

Machina wojenna przetoczyła się i znikła, nadleciał orzeźwiający wiatr znad jeziora i zabrał zostawiony przez nią zapach brudu i potu, a gdy Martin odwrócił się, obok stołu ze śniadaniem stał specjalnie dla niego nakryty stół, który Marysia przybrała kwiatami i zielonymi listkami. Wtedy znowu się zawstydził i poczerwieniał, ale zarazem bardzo się ucieszył, ponieważ na samym środku znajdowało się ciasto, które upiekła dla niego mama, duży talerz poziomek, które Marysia zebrała pod dębami, ćwierćkoronówka od taty i paczka ze skarpetami zrobionymi przez babcię na drutach. Najbardziej zadowolony był z ćwierćkoronówki. Uświadamiał już sobie, że para skarpet to po prostu para skarpet, ciasto to ciasto, ćwierćkoronówka zaś oznaczała nieokreśloną liczbę spełnionych życzeń, zupełnie dowolnych, choć ograniczonych pewnymi ramami, a jak wąskie były to ramy, tego

doświadczenie jeszcze go nie nauczyło.

Martin obszedł wszystkich i podziękował, skosztował ciasta i poziomek, zobaczył, że skarpety były ładne, w czerwone paski, i starannie schował ćwierćkoronówkę do pudełka od zapalek, które służyło mu za kasetkę i w którym leżało wcześniej kilka starych miedziaków oraz drobnych kamyków – Martin znalazł je w piasku i schował, bo były takie piękne.

Rozległ się gwizd „Brage” koło Tyska Botten i tata musiał jechać do miasta, natomiast Martin mógł pójść z mamą, babcią i Marysią na Drottningholm. Stał tam biały zamek, letnia rezydencja króla, i przeglądał się w błyszczącej zatoce, a drzewa w parku były większe od wszystkich innych drzew, a cień pod nimi głęboki i chłodny. Po ciemnych wodach stawów i kanałów sunęły białe łabędzie ze sztywno wyciągniętymi szyjami i Martin nie sądził, żeby obchodziło je coś na tym świecie poza własnymi białymi marzeniami.

Babcia miała ze sobą bagietkę, którą Martin pokruszył i karmił łabędzie, jak karmi się kury.

Letnie dni, szczęśliwe dni, bławatki w żółtym życie...

Zbliżały się żniwa, Martin szedł drogą z mamą, Marysia szła z drugiej strony i od czasu do czasu zrywała bławatek rosnący w zbożu. Mama miała na sobie różową sukienkę i słomkowy kapelusz z szerokim rondem i mówiła im o ludziach, świecie i Bogu.

– Spójrz, Martin – powiedziała – tam rosną akurat ciężki i lekki kłos, o których czytaliśmy onegdaj w altance. Pamiętasz, ten pełny kłos, który pochylał głowę tak nisko ku ziemi, bo musiał dźwigać wiele ziaren. Ale ziarna miele się w młynie na mąkę, z mąki piecze chleb, a chleb jest najlepszy, żeby zaspokoić głód. Z tego pustego kłosa zaś nie ma żadnego pożytku, chłop wyrzuca go lub daje koniowi do przeżuwania, na czym koń wcale się nie utuczy. Mimo to unosi się dumnie i patrzy z góry na inne kłosa, które pochylają się wokół.

Mama zerwała ten dumny, lekki kłos i pokazała Martinowi, że był zupełnie pusty.

– Takich jest wielu wśród ludzi – powiedziała. – Przekonasz się o tym, kiedy dorośniesz. Spotkasz też ludzi, którzy chodzą z pochyloną głową, żeby sprawić wrażenie, iż są tymi pełnymi kłosami. Lecz właśnie ci są najbardziej pustymi.

– Musicie też pamiętać, dzieci, że nie do was należy, ani teraz, ani kiedy dorośniecie, rozstrzyganie, kto jest pełnym, a kto pustym kłosem. Człowiek tak naprawdę nie może tego wiedzieć o drugim człowieku. To wie tylko Bóg.

Kiedy mama mówiła Martinowi o Bogu, czuł się podniośle, a zarazem nieco zażenowany, mniej więcej tak jak mały piesek, z którym usiłuje się rozmawiać jak z człowiekiem. Bowiem gdy słuchał opowiadań mamy o rajy i arce Noego, były dla niego zupełnie zrozumiałe i miał wszystko tak wyraźnie przed oczami: i jabłoń, i węża,

i zwierzęta w arce; lecz przy słowie Bóg nie potrafił wyobrazić sobie nic konkretnego, ani starca, ani mężczyzny w średnim wieku z ciemną brodą. Na niebieskim sklepieniu kopuły w ich kościele namalowane było wielkie oko i mama powiedziała, że to wyobrażenie Boga. Lecz to samotne oko wydawało się Martinowi takie straszne i smutne, ledwie ważył się na nie spoglądać, i wcale nie pomogło mu zrozumieć, jak Bóg w rzeczywistości wygląda. Musiał też nauczyć się na pamięć tych dziesięciu przykazań, które Bóg napisał Mojżeszowi na górze Synaj. Potwierdziły tylko żywione przez niego po cichu podejrzenie, że Bóg jest czymś, co właściwie obchodzi jedynie dorosłych. Nie mógł przecież zwracać się do Martina, kiedy mówił: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Martin nie wiedział, ani jak taki bożek wygląda, ani co należy zrobić, żeby w niego wierzyć. To, że powinien czcić swoich rodziców, rozumiało się samo przez się. Nie odczuwał też żadnej pokusy, żeby zabić, kraść czy pożądać dziewczki sąsiada, jego wołu lub osła. A już zupełnie nie miał pojęcia, co musiałby zrobić, żeby popełnić cudzołóstwo, ale w każdym razie postanowił się tego wystrzegać, tak dla pewności.

– Bóg wie wszystko, co się dzieje i co się wydarzy. Sam o tym zdecydował. I gdy modlisz się do Boga, Martin, niech nie wydaje ci się, że swoimi prośbami możesz skłonić go, aby cokolwiek zmienił w swoich postanowieniach. Bóg lubi jednak, jak się do niego modli, i dlatego masz to robić. Nie wolno ci nigdy zaprzestać odmawiania wieczornej

modlitwy przed snem, nawet gdy będziesz duży i mądry. A jak już dorośniesz i sam będziesz sobie radził na świecie, nie zapominaj, że przede wszystkim musisz liczyć na siebie. Bóg pomaga tylko temu, kto sam sobie pomoże. A gdy kiedyś w życiu zdarzy ci się, że zapragniesz czegoś szczerze i gorąco, tak bardzo, że nie uzyskawszy tego, nigdy więcej nie poczujesz się szczęśliwy – nie prosź Boga, żeby ci to dał. Spróbuj raczej sam to zdobyć, a gdy ci się nie uda, módl się do Boga o siłę, żebyś umiał się wyrzec tego, czego pragniesz. On nie lubi innych modlitw.

Tak mówiła mama Martina Bircka, kiedy szli drogą. Letni wiatr szeleścił wokół nich, przeciągał nad polami, a zboża falowały.

Mostowy, stary Moberg, trzymał pomocnika imieniem Johan. Johan miał czternaście lub piętnaście lat i szybko został najlepszym przyjacielem Martina. Robił dla niego łuki i wycinał łódki z kory, a Martin pomagał mu kręcić korbą przy podnoszeniu mostu. Wieczorami po pracy bawił się też z Martinem, Marysią i innymi dziećmi w chowanego albo zbójców. Lecz wcale nie za sprawą łódek czy zabaw Martin tak bardzo lubił Johana i tak bezgranicznie go podziwiał. Powodem było to, że Johan miał tyle niesamowitych rzeczy do opowiedzenia, rzeczy, o których tata, mama ani babcia nigdy nie mówili. Johan stawał się rozmowny zwłaszcza po zmroku, gdy razem z Martinem siedzieli na belce przy moście i czekali na parowiec, który miał nadpłynąć i którego światła wcześniej czy później pokazywały się

zza cypla, najpierw zielone, a później czerwone. Wtedy Johan potrafił opowiedzieć to i owo. Na przykład o staruszkę Mobergu, który widywał małe, malutkie diabełki skaczące w szklanicy z grogiem; z nimi właśnie rozmawiał, kiedy mamrotał do siebie i mieszał w szklanicy. Jeszcze gorzej rzecz miała się z księdzem w Lovö. Otóż żył on w serdecznej przyjaźni z biesem, wiedziała o tym cała parafia. Zresztą jeśli dobrze się zastanowić, samo się to nasuwało: jak inaczej mógłby przez całą godzinę wygłaszać kazanie z ambony, skąd brał wszystkie słowa? Poza tym Johan miał raz do niego sprawę i wszedł nawet do samego pokoju, i na własne oczy widział, że było tam pełno książek, od podłogi po sufit. Tak, ksiądz musiał być w komitywie z diabłem! Albo opowiadał o człowieku, który przed trzema laty został zamordowany na gościńcu, niedaleko stąd, i szczegółowo opisywał miejsce wydarzenia: było to dokładnie tam, gdzie las po jednej stronie tworzy gęstwinę, a po drugiej koło słupa telegraficznego rośnie wierzba. Morderstwo popełniono pewnego listopadowego wieczoru i, jeśli przejść w tamtym miejscu o właściwej porze, wyraźnie słyhać jęczzenie w rowie. Jak dotąd sprawcy nie złapano.

Kiedy Martin słyszał takie historie, czepiał się mocno ramienia Johana i lżej robiło mu się na sercu, gdy światła parowca rozbłyskały w mroku i zbliżały się, gdy słyszał dudnienie maszyn i wykrzykiwane komendy kapitana – wtedy musieli pośpieszyć się, żeby podnieść most. A gdy wracali przez most do domu, obaj byli podekscytowani myślą

o duchu i zabójstwie, i Johan powiedział do Martina:

– Słyszysz, idzie za nami!

Martin nie wiedział, czy idzie morderca, czy zamordowany, ale wydało mu się, że słyszy kroki na moście, i nie ważył się odwrócić. Lecz Johan, który miał pogodne usposobienie, rozwiął jego strach, intonując wesołą piosenkę, śpiewał ją na melodię „Siedziała starucha na rynku Konham”:

*Idę ku śmierci, gdziekolwiek idę,
killivillivippombom!*

Martin dołączył się i też zaśpiewał.

Lecz kiedy zbliżyli się do domu mostowego, Johan zamilkł i Martin śpiewał sam na całe gardło:

*Idę ku śmierci, gdziekolwiek idę,
killivillivippombom!*

Mostowy, stary Moberg, siedział na ganku oplecionym pnączami chmielu i w świetle okrągłej chińskiej lampy pił grog razem z dwoma chłopami. Był starym człowiekiem, pił grog każdego wieczoru, i powiadano, że nie zostało mu dużo czasu. Ale wcale nie miał ochoty umierać. Gdy słyszał kogoś mówiącego o chorobie i śmierci, to jakby

powiedziano przy nim coś nieprzyzwoitego, nawet gorzej, bo nieprzyzwoitości bynajmniej nie raniły jego uszu, tylko wprawiały go w dobry humor. Kiedy więc zobaczył nadchodzącego Martina, śpiewającego psalm o śmierci na frywolną melodię ulicznej przyśpiewki, wstał, pokonał chwiejnym krokiem kawałek drogi i stanął przed nim. Martin też stanął, natychmiast umilkł i obejrzał się za Johanem, lecz ten znikł.

Staruszek Moberg zrobił się sinoblady na twarzy, a głos mu drżał, kiedy mówił:

– I to ma być chłopak z dobrego domu! Muszę powiedzieć, że nastały dziwne czasy.

Potem wszedł do domu, nie dopiwszy grogu ani nie powiedziawszy chłopom „dobranoc”, i położył się spać.

Martin został sam na drodze i nagle zrobiło się wokół niego bardzo cicho. Słyszał tylko odgłos chłopskich lasek, które uderzały twardo o ziemię, gdy ci odchodzili w ciemność, nic nie mówiąc.

Rodzice Martina słyszeli wszystko z bocznej werandy.

– Martin, chodź tu!

Martin był tak czerwony, jak biały był jego kołnierzyk. Teraz miał wytłumaczyć się, kto nauczył go takiej piosenki. Powiedział, że sam ją wymyślił. Ojciec wyjaśnił mu, jak okropnie niestosownie się zachował, Martin popłakał się i został odesłany do łóżka. Płakała też mama, gdy

razem z nim odmawiała pacierze. Była poruszona i przerażona. Albowiem przewinienia dzieci, podobnie jak dorosłych, bardziej oceniane są przez pryzmat skandalu, jaki wywołały, niż wedle ich rzeczywistej wagi, a przewinienie Martina wywołało ogromny skandal.

Najpiękniejsze dni lata minęły. W ciągu dnia padał deszcz, wiało, jezioro zachodziło zielenią. O zmierzchu wrony krążyły wokół wzgórza z nagim dębem.

Kiedy padało, Martin miał czytać „Pszczółkę i gołębia” i „Co zdarzyło się, gdy ropucha zobaczyła byka”. Czytał też „Dziecka podróż do Miasta Snów”:

*Złotych rybek lśni długi sznur
w srebrzystych wód odmęcie.
Dziecko rusza do Miasta Snów.
Nocą u celu będzie.
Już są
uśpionych chaty
w blasku księżycy skąpane.
Już lśnią
miliony świateł
na wieczór pozapalanych.
Dopływa łódź do brzegu cum,*

*latarnie rzędem jasnym
w nabrzeżny świecą szmer i szum,
pieśń dzwonów idzie w Miasto.*

Miasto. Martinowi oczy zasły łzami. Ostatnio często myślał o mieście i zastanawiał się, czy w domu wszystko jest po staremu. Albowiem zimą Martin tęsknił za zieloną trawą lata i poziomkami w lesie, lecz gdy minął szereg letnich dni i zieleń nie była już nowością, a mleczce na trawniku poszarzały od pyłu z gościńca, wtedy znowu marzył o świecących miejskich latarniach, o gwiazdce i śniegu, o szarym zmierzchu zimowego dnia przed płonącym kominkiem.

X

Koło roku przetoczyło się i znowu nastąpiła jesień.

W mieście zaszło tak wiele zmian. „Długa Szeregówka” ze swymi ogrodami i szopami zniknęła – na jej miejscu wznoszono wysoki dom z cegły, wyższy z każdym dniem, zasłaniający zarówno lipy w Humlegarden, jak i Obserwatorium na wzgórzu. Wszędzie wyburzano i budowano, a wzgórza i wzniesienia Ladugardslandu rozbrzmiewały codziennie hukami dynamitu – tyle że Ladugardsland miał się teraz nazywać Östermalm. A stróżka Haggbom została panią. Jeśli ktoś zwracał się do niej per „stróżka”, odpowiadała grzecznie, acz stanowczo:

„Nie zmiatam strużek”.

Martin chodził do szkoły – była to mała, przyjemna szkoła, wcale nie tak groźna, jak się spodziewał. Wystarczyło tylko uczyć się tego, co zadane, i szło dobrze. Martin z dumą spostrzegał, że jego wiedza o świecie poszerza się z każdym dniem. Na jego oczach przestrzeń i czas przesuwały coraz dalej swe słupy graniczne: świat był znacznie większy, niż sobie wyobrażał, i tak stary, że w głowie kręciło się od tej liczby lat. Gdy spoglądało się w przyszłość, czas nie miał żadnych granic, biegł tylko w oszałamiającą niebieską nieskończoność; lecz gdy podążało się za nim wstecz, to przynajmniej tam daleko w mrokach znajdował się jakiś początek, punkt, przy którym trzeba było się zatrzymać: cztery tysiące lat przed narodzeniem naszego Zbawiciela Bóg stworzył świat. Tak napisano jasno i wyraźnie w Martinowej biblijnej historii na pierwszej stronie.

Stworzył go w ciągu sześciu dni. Tylko że nauczyciel powiedział, że w tamtych czasach dni były dłuższe.

Gdy jednak dni stworzenia były nieco dłuższe od innych dni tygodnia, dokładnie odwrotnie sprawa miała się z dziewięciuset sześćdziesięcioma dziewięcioma latami Matuzalema. „Pamiętajcie, że wówczas liczono krótsze lata niż teraz”, powiedział nauczyciel.

Było tak wiele nowych rzeczy do zrozumienia i nauczania się i w rzeczywistości szkoła nie kryła w sobie żadnego z tych koszmarów,

które Martin przypisał jej w swojej wyobraźni.

Za to droga do i ze szkoły pełna była niebezpieczeństw i zagrożeń. Nieprzychylne stworzenia określane mianem łobuzów, które Martina i jego kolegów nazywały snobami, mogły czyhać za każdym węglem. Najgorsi z tych łobuzów byli okrutni i niebezpieczni „bagniarze”, którzy od czasu do czasu porzucali swoje ponure pielesze w „Bagnie”, okolicy między parkiem Humlegarden a placem Roslagstorg, żeby udać się na wyprawę wojenną, i o których powiadano, że używali dyscyplin z ołowianymi kulkami. Lecz Martin bardziej niż bagniarzy – nigdy ich nie widział i powątpiewał w ich istnienie – bał się straszego łobuza Fransa z dawnej „Długiej Szeregówki”, wciąż mieszkającego na tej samej ulicy. Łobuz ten skupił bowiem wszystkie swoje siły i cały swój zapal na zatruwaniu życia Martinowi za dnia, dopadał go nawet w nocnych snach.

Pewnego dnia, gdy Martin szedł do domu na śniadanie, zobaczył, że dwóch jego kolegów wdało się na rogu ulicy w bójkę z Fransem; zdołali już go pokonać, przewrócili i okładali pięściami. Martin zaczął w tym czasie czytać książki o Indianach i natychmiast dostrzegł we Fransie materiał na szlachetnego czerwonoskórego, i nie chciał zaprzepaścić tak dogodnej okazji do uczynienia z niego swego przyjaciela oraz sojusznika przeciwko innym łobuzom. Dlatego podszedł i pouczył kolegów, że tchórzostwem jest napadanie w dwóch na jednego, że Frans mieszka na jego ulicy i jest całkiem przyzwoitym chłopakiem i że powinni zostawić

go w spokoju. Gdy w ten sposób odwrócił ich uwagę, Frans zdołał zerwać się na nogi i uciekł.

Za to Martin oberwał wszystkie te razy, które były przeznaczone dla Fransa. Na dodatek długo musiał znosić szyderstwa kolegów, że przyjaźni się z łobuzem. A gdy następnym razem spotkał Fransa na ulicy przed bramą farbiarza, ten natychmiast podstawił mu nogę, przewracając Martina do ryszoka, rozbił mu nos i podarł książki, strasznie przy tym przeklinając, a potem uciekł.

Nie rozumiał bowiem, że miał być szlachetnym czerwonoskórym. Lecz Frans nie był wcale małym łobuziakiem jak wielu innych, tylko bardzo strasznym łobuzem.

XI

Martin poszedł do gimnazjum.

Wszystko tam było takie obce i zimne. Szare ściany, długie korytarze.

Szkolne podwórze było niczym pustynna Sahara. Kiedy zadzwonił dzwonek na pierwszą przerwę, Martin wycofał się na ubocze, żeby uniknąć spotkania z nowymi kolegami. Na następnej przerwie zebrali się jednak wokół niego i przez jakiś czas przyglądali mu się w milczeniu, aż w końcu niski, rudowłosy chłopak o szerokiej czaszce otworzył usta i zapytał:

– A z ciebie co za dziwadło?

Martina dosięgło przy tych słowach niejasne przeczucie, że oto zaczyna się nowy etap w jego życiu. Dotąd był szczęśliwy jak roślinka w ziemi, podobnie jak każde małe dziecko mające dobrych rodziców i bezpieczny dom. Teraz otwierały się drzwi do zupełnie nowego świata, świata, w którym nie można było radzić sobie za pomocą prostych sposobów, jakich nauczyli go tata z mamą: być grzecznym i uprzejmym dla wszystkich i nigdy nie wchodzić innym w drogę. Tutaj trzeba było szybko i właściwie ocenić, kiedy należało użyć pięści, a kiedy wziąć nogi za pas i w jakich okolicznościach opłacało się sięgnąć po fortel. Nie trwało też wcale długo, nim Martin nauczył się sobie radzić. Przypomniawszy sobie od razu różne przekleństwa i nieprzyzwoite słowa, które usłyszał od mostowego parobka na wsi, i nie omieszkał wtrącać ich tu i ówdzie w czasie rozmów z kolegami, gdy uznał, że się nadają. W ten sposób szybciej się z nimi spoufalił, a oni w rewanżu opowiedzieli mu wiele rzeczy przydatnych nowemu: którzy nauczyciele biją, a którzy ograniczają się do uwag; że najgorszy jest profesor Sundell, bo ma lusterka w okularach i widzi wszystko, co dzieje się za jego plecami, i zawsze chodzi w kaloszach na gutaperce, żeby nie było słychać, kiedy zbliża się korytarzem; że Mielonka jest miły, chociaż ocenia surowo, za to z Pchlarza przeklęty łajdak.

Przybywał rok za rokiem, nowe grzebało stare, podczas gdy Martin stopniowo nabierał wprawy w dwojakiej sztuce życia: uczenia się i zapominania. Gdyż podobnie jak dla gracza, który żeby wytrzymać tak długo, aż ostatnia moneta wypadnie mu z drżącej ręki, musi umieć zapomnieć o przegranych na rzecz upragnionej wygranej, tak samo dla człowieka, przymusowego gracza, sztuka zapominania jest największa i od niej wszystko zależy.

I Martin zapominał. Czerwony Turek, który dawno temu zmęczył się podskakiwaniem, był tak zapomniany, jakby nigdy nie istniał. Wujek Abraham, który dał go Martinowi i który pewnego deszczowego dnia powiesił się na sznurze od szybra, gdy uznał, że dalsze życie niewarte jest wysiłku, też szybko został zapomniany, nawet jeśli czasami pojawiał się w snach Martina jako mroczna i niepokojąca zagadka. Lecz zapominając, uczył się. Jedną trzecią wiedzy dostarczali mu nauczyciele, kolejną zaś jedną trzecią koledzy, którzy prędko pomogli mu podnieść zasłonę skrywającą szóste przykazanie i związane z nim sprawy. Posiłowali się przy tym chętnie Pismem Świętym. Wyjaśnili mu szczegółowo, co Absalom robił z nałożnicami ojca na dachu pałacu na oczach ludu, i zachłystywali się z Ezechielem bezdennym grzechem Aholi i Aholiby. Lecz jeśli nawet te dwie trzecie Martin dostawał wymieszane z przesadami i kłamstwami, a ostatnią częścią wiedzy, może najważniejszą, do której musiał kiedyś sam dojść, jeszcze nie zaczął się interesować – to z każdym dniem poszerzały się otwory, które

doświadczenie wyrywało w żywopłocie z pajęczyny snów i baśni, jakim życzliwe ręce otoczyły ogródek jego dzieciństwa, i coraz częściej przez te wyrwy zionęła wielka pusta otchłań zwana światem.

Biała czapka

I

Kiedy Martin Birck dostał studencką białą czapkę, pierwsze, o co zadbał, było pójście do trafiki, żeby kupić laskę z cynamonowca i garść papierosów. Młoda dziewczyna stojąca za ladą miała czarne oczy i gęstą grzywkę. Jej wygląd zaledwie z grubsza odpowiadał ideałowi jego marzeń, o jaśniejszych włosach, bardziej w typie Faustowskiej Małgorzaty; lecz gdy życzliwie pogratulowała mu białej czapki, patrząc na niego spojrzeniem pełnym sympatii, chociaż nigdy wcześniej nie zaglądał do jej sklepiku, poczuł z nagłą ciepło wokół serca, ujął jej pobrudzoną dłoń, spoczywającą na wystawionych na ladzie Cameo i Duke of Durham, i czule pocałował. Wszelako pocałował tego niemal od razu. Zachował się chyba niewłaściwie. Nie myślał wprawdzie, że ta młoda dziewczyna jest niewinna, miała pewnie kochanka, a może nawet kilku, ale nie dawało to nikomu prawa, żeby tak sobie wchodzić i całować ją w rękę. Stał zakłopotany, nie wiedząc, co zrobić czy powiedzieć, w końcu przyszedł do siebie, wybrał laskę z cynamonowca, zapalił papierosa, zapłacił i wyszedł.

Drottninggatan lśniła jeszcze wilgocią po ostatniej ulewie, niskie

kobiety z podrygiwującymi turniurami podciągały suknie, żeby przeskoczyć odbijające niebo kałuże, elegancy panowie o chudych kraciastych nogach i z identycznymi jak Martin laskami zamasyście zdejmowali cylindry do ceremonialnych ukłonów, odsłaniając przy tym tak krótko ostrzyżone głowy, że przeświecała skóra. Nad kominami i dachami szarych domów przemykały w migotliwym pędzie niespokojne białe obłoki wiosennego dnia, a na samym dole ulicznej sceny światło słońca drgało wokół kościołów i wież. Martin zatrzymywał się przed co drugą sklepową witryną, żeby zobaczyć odbicie swojej białej czapki. Nie mógł pojąć, jak został abiturientem. Aż do ostatniej chwili myślał, że nie zda. Tym radośniejsze było jego zaskoczenie, gdy, jak pozostali, dostał świadectwo maturalne, a zwłaszcza gdy dotarł do końcowych linijek: „Z powyższego względu uznano, że wspomniany M. Birck, wzięwszy pod uwagę tę dojrzałość, którą pełne kształcenie średnie ma zapewnić, zasłużył na cenzurę: dóbry”. Te słowa napęłniły jego serce wzruszeniem i wdzięcznością dla nauczycieli, gdyż wprawdzie sam uważał się za dojrzałego, ale bynajmniej nie oczekiwał, że grono nauczycielskie podzieli tę opinię. W ostatnich semestrach rzadko był przygotowany do lekcji. Często nie mógł zdobyć się nawet na to, żeby zajrzeć do podręcznika w czasie dziesięciominutowej przerwy przed lekcją albo przemycić kilka wyrwanych kartek do Biblii, by przestudiować je podczas porannej modlitwy, gdy nauczyciel teologii plótł banialuki na katedrze; środki

zaradcze, których nie zaniechali nawet najleniwi z jego kolegów. Niemniej jednak chciał ucieszyć rodziców dobrym świadectwem, nawet jeśli sam nie miał większych ambicji z tym związanych – tyle że w ostatnich latach nasza go jakaś głucha apatia obejmująca wszystko, co wiązało się ze szkołą, i nic nie mógł na nią poradzić. Poważne traktowanie nauki przychodziło mu z takim trudem. Gdy niekiedy zdarzyło mu się wbrew rutynie wyróżnić z takiego czy innego przedmiotu, sam przed sobą niemal się wstydział swej trywialności. Jak tylko miał zanurzyć się w te banalne szczegóły, w których lubowały się podręczniki, czuł się prawie tak śmieszny jak człowiek, który z płonącego domu ratuje pogrzebacz.

Teraz, kiedy pogrzebacz został naprawdę uratowany, tak go to rozradowało, że chciało mu się śpiewać, czuł się szczęśliwy i wolny i pośpieszył do domu ze swoją białą czapką, do domu na kwiecistej ulicy dzieciństwa. Lecz ulica nie była już ta sama co kiedyś. Jeszcze tylko z jednego małego ogródka wiśnie wyciągały gałęzie nad omszałym parkanem – resztę stanowiły wysokie domy z czerwonej cegły i niskie proste domy modlitwy. Łobuz Frans nie mógł już zakłócać tej odrobiny sielankowości, która się ostała, albowiem on też dorósł i od dawna siedział w Langholmen.

Dom był cichszy i bardziej pusty niż wcześniej. Marysia, siostra Martina, od roku była zamężna z lekarzem na dalekiej prowincji, a babcia odeszła.

Wieczorem Martin wybierał się z kolegami na imprezę w Hasselbacken. Ojciec dał mu pięć koron, by poświęcił na młodzieńcze rozrywki, mama zaś wzięła na bok i powiedziała:

– Martinku, Martinku, musisz mi teraz obiecać, że dziś wieczorem zachowasz ostrożność i nie dasz skusić się na jakieś szaleństwa. Nie musisz pić ze swojego kieliszka za każdym razem, kiedy ktoś będzie chciał wznieść z tobą toast, bo wtedy całkiem będzie kręciło ci się w głowie. Najlepiej, gdybyś tylko udawał, że pijesz. Muszę ci też powiedzieć, Martin, że są takie okropne kobiety, które myślą wyłącznie o tym, jak doprowadzić młodych mężczyzn do zguby. Przed nimi szczególnie musisz się mieć na baczności. Martinku, gdybym tylko wiedziała, że trzymasz się Boga i o nim myślisz, nie niepokoiłabym się o ciebie, ale wiem, że jest inaczej. Nawet ich oddech jest zatruty i przez samą rozmowę na ulicy z taką kobietą możesz nabawić się najgorszych chorób, których żaden lekarz na świecie nie będzie potrafił wyleczyć.

– Mamusiu – odparł Martin – w tej sprawie masz całkiem fałszywe pojęcie.

Sięgnął po swoją białą czapkę, powiedział „do widzenia” i wyszedł.

Mama odprowadziła go zmartwionym wzrokiem, a kiedy znikł jej z oczu, usiadła w ciemnym kącie i zapłakała. Czuła bowiem, że go traci,

jak matki zawsze tracą swoich synów.

III

Martin myślał o mamie, kiedy szedł wzdłuż Storgatan w kierunku Djurgarden.

Jak ich wzajemne stosunki mogły ułożyć się w ten sposób? Dla niej wciąż był małym chłopcem. Gdy zwierzył się jej ze swych religijnych wątpliwości, udawała przekonanie, że było to coś, co usłyszał od złych kolegów albo przeczytał w jakiejś podejrzanej książce. Potem doszło do tego, że nie umiał rozmawiać z nią inaczej niż tylko o najcodzienniejszych sprawach: o koszulach, skarpetkach, o guzikach, które trzeba było przyszyć. Jeśli poruszyli czasem poważniejszy temat, traktowali się nawzajem jak małe dzieci. W głosie Martina pojawiał się przy tym – niezamierzenie, ale zauważał to dopiero, gdy było już za późno – pewien ton wyższości, który ją ranił, tak że po takiej rozmowie oboje nosili zadrę w sercu.

Ona leżała często bezsennie w nocy i płakała zatroskana jego niewiarą. Wszelako sama wszystkimi swoimi myślami i nadziejami, całym swym jestestwem należała do ziemi. Wierzyła wprawdzie w piekło, bo wierzyła w Biblię, jednak nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić, by jej syn czy w ogóle ktokolwiek z ludzi, którzy ją otaczali, naprawdę miał trafić do tak okropnego miejsca. Stąd tym, co martwiło ją najbardziej, nie była jego dusza, lecz jego przyszłość tu na ziemi –

obserwowała bowiem, że nie powodziło się na świecie tym, którzy wzgardzili Bogiem i religią. Jedni szli do więzienia, inni opuszczali kraj, żeby żyć wśród obcych, wszyscy wzbudzali niechęć i nieufność szanowanych ludzi. Bała się, że syna spotka podobny los, i to nie pozwalało zasnąć jej w nocy i zasnuwało oczy łzami. Nie miała większego marzenia jak to, żeby Martin był „jak inni”, jakimi ludzie najczęściej są, w miarę możliwości lepsi, a przede wszystkim szczęśliwsi, ale w gruncie rzeczy nieróżniący się od innych. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że jej syn zostanie poetą, a nawet by tego chciała, ponieważ kochała poezję i miała łzy w oczach, gdy czytał jej któryś ze swoich wierszy – lecz zarazem myślała, że w tygodniu będzie zasiadał w urzędzie, a tylko w niedzielę lub w wolnej chwili napisze kilka strof o zachodach słońca i wyśle je do Akademii Szwedzkiej, dostanie za nie nagrodę i jednocześnie będzie wielkim poetą i szanowanym urzędnikiem o stałych dochodach. Całkiem poważnie myślała, że cieszyłby się też większym poważaniem wśród poetów, gdyby piastował urząd i nosił jakiś tytuł, niż gdyby tylko pisał. Tak przecież rzecz się miała ze wszystkimi prawdziwymi poetami. Tegner był przede wszystkim biskupem, nawet Bellman miał posadę w loterii liczbowej. Jako wzór, który Martin szczególnie powinien naśladować, wymieniała zwykle poetę, znajomego z czasów młodości, obecnie rewidenta w Trybunale Skarbowym, piszącego wiersze o rzeczach wielkich i pięknych, o morzu i słońcu, o królu, i odznaczonego Orderem

Wazów. Uważała, że do takiego szlachetnego życia warto dążyć, a ponieważ w marzeniach widziała dla swego syna jak najlepszą przyszłość, myślała właśnie o czymś takim.

Martin miał inne marzenia. Chciał być pisarzem. Napisałby książkę – powieść lub zbiór wierszy, a najlepiej dramat filozoficzny o takim samym metrum jak „Brand” i „Peer Gynt”. Poświęciłby życie szukaniu prawdy i dzieleniu się z ludźmi tym, co znajdzie, rzeczywiście lub we własnym mniemaniu. Stałby się też sławny i zarabiał dużo pieniędzy, kupiłby tacie mały dom i nową jedwabną suknię dla mamy, bo starą, znoszoną i nicowaną, musiała wkładać zbyt często. Mężczyźni by mu zazdrościli, a kobiety go pożądały, lecz ze wszystkich kobiet na świecie kochałby tę jedyną, a ona kochałaby innego. Ta nieszczęśliwa miłość dodałaby jego myślom goryczy i głębi, a jego poezji skrzydeł. Czuł wszakże niejasno, że rozglądając się za prawdą, znajdywałby jedynie prawdy, a dzieląc się nimi z ludźmi wierszem piękniejszym niż jakakolwiek muzyka lub przejrzystą i surową prozą o słowach jak ostre kły, pogardzałby sobą, że zbiera złoto i chwałę za te okruchy, które znalazł przez przypadek, szukając czegoś innego. Ta pogarda zżerałaby mu duszę, czyniąc zeń pustą skorupę. Nie pozwoliłby jednak, żeby świat coś zauważył, malowałby policzki szminką, oczy tuszem, a głowę nosił prosto i właśnie wtedy, gdy najgłębiej gardziłby swym pisarstwem, stawiając je niżej od najniższego rzemiosła, urzekałoby ludzi najbardziej i wybrano by go do Akademii Szwedzkiej po Wirsenie. Z twarzą

nieruchomą jak maska wygłosiłby tradycyjną kwiecistą mowę o swym poprzedniku. Potem nigdy więcej nie sięgnąłby już po pióro i papier. Wspaniale barwnym i poplątanym życiem starałby się zagłuszyć zwątpienie. Żaden występki nie byłby mu obcy, w biały dzień przemierzałby ulice dorożką z kuglarzami i nierządnicami, a hazardem i piciem zabijał czas w nocy. Aż któregoś ponurego wieczoru w październiku, zmęczony szalonym i pustym życiem, rozpalilby ogień w piecu, wrzucił doń swoje papiery, opróżnił kieliszek ciemnoczerwonego wina przyprawionego bardzo osobliwymi korzeniami, i zasnął, żeby się więcej nie obudzić...

Może zresztą nie było niezbędne, żeby jego życie miało tak tragiczny koniec. Po bliższym zastanowieniu się uznał to nawet za trochę banalne. Równie dobrze mógł przenieść się do małego miasteczka, do Strangnas albo Granny. Tam wynająłby dom i mieszkał sam z papugą i czarnym kotem. Mógłby też mieć akwarium ze złotymi rybkami. W dzień, zamknąwszy okiennice, oddawałby się marzeniom sennym, za to po nastaniu nocy zapalałby świece we wszystkich pokojach i chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem, rozmyślając nad wszelką marnością. Mieszkańcy miasteczka, wracający koło jego domu z wieczornego grogu w miejskiej piwnicy, zatrzymywaliby się i pokazując na jego okna, mówili: „Tam mieszka Martin Birck. Nauczał jak mędrzec i żył jak szaleniec. Jest bardzo nieszczęśliwy”.

Takie i inne myśli chodziły Martinowi po głowie, kiedy szedł wzdłuż Storgatan, przez Djurgarden w kierunku Hasselbacken.

IV

Orkiestra zaintonowała pierwsze takty „Mefistofelesa”.

Martin siedział na balkonie przy balustradzie wraz Henrikiem Risslerem. Słuchali muzyki i spoglądali na tarasy, nie rozmawiając wiele. Rissler miał równe, białe czoło i spokojne, jasne oczy.

Badawcze spojrzenie sięgało daleko, jakby prześlizgując się po najbliższych przedmiotach, żeby szybciej dotrzeć do tych odległych. Był jedynym kolegą, który szukał towarzystwa Martina poza szkołą. Odwiedzali się popołudniami, rozmawiali, paląc papierosy, czasami szli na długi spacer, nierzadko w deszczu, śniegu i wietrze, do Djurgarden albo Ladugardsgardet, dyskutując o wszystkim, co zajmuje młodych ludzi, o dziewczynach, Bogu i nieśmiertelności duszy. Lub wałęsali się po ulicach w świetle latarni gazowych, mając poczucie, iż rzucają się w wir świata, zatrzymywali się przed miedziorytami na wystawach księgarń, a najbardziej ze wszystkich podziwiali litografię zatytułowaną „Don Juan aux Enfers” z mottem z Baudelaire’a:

Mais le calme heros, courbe sur sa rapiere, regardait le sillage et ne daignait rien voir.

Ten obraz poruszał ich wyobraźnię, serce biło szybciej, kiedy później w tłumie ludzi zdarzyło im się otrzeć o ramię ładnej dziewczyny, wydawało im się, że przeżywają całą przygodę, gdy podstarzałe uszminkowane właścicielki jadłodajni rzucały im ciepłe spojrzenia.

Ale podstawą ich przyjaźni był ten fakt, że obaj przeczytali „Nielsa Lyhne’a” i stawiali tę książkę wyżej od pozostałych.

W środku rozmawiano i śmiano się przy wazach, powstawały grupy i kręgi. Większość starym zwyczajem łączyła się wedle społecznych i intelektualnych podobieństw i różnic, które już w szkolnej ławie zbliżały jednych, odsuwając ich od innych: Gabel i Billfelt – Jansson i Moberg – Planius i Tullman. Niektórzy przechadzali się z nieco posępnyimi minami, przypominając o solidarności.

Josef Marin zastukał w wazę i wzniosł toast za dowód ontologiczny. Wypito raczej obojętnie. Szkolnych spraw miano tak dosyć, że nie chciało się z nich nawet żartować.

Josef Marin miał zostać pastorem, ale jeszcze przez cały czas utwierdzał się w wierze.

Muzyka przeszła do pieśni studenckich „Stań pewnie” i „Opiewajcie szczęśliwe studenckie dni”. Zmierzchało nad koronami drzew, nad kominami i dachami miasta, i wzgórzami na południu, błądy zmierzchu wiosennego wieczoru, rozrzedzający i podnoszący wszystko, wprowadzał fantasmagoryczne, odrealnione pejzaże snu. Ciżba na dole

na tarasie, spełniająca toasty, jeszcze przed chwilą dająca się wyraźnie rozróżnić: porucznicy i studenci, gwardziści i dziewczęta oraz mieszczenie z żonami i dziećmi, zlała się teraz w bezładną masę, a rozgwar głosów – jakby wskutek niewytłumaczalnego kaprysu – nagle zamilkł, tak że przez sekundę słychać było plusk wody w fontannie i ostatnie, senne popiskiwanie ptaków na drzewach. A na zachodzie silnie płonęła już samotna gwiazda.

– Popatrz, Wenus – powiedział Henrik. – Ale błyszczący!

Martin w zamyśleniu rysował na stole, a kreski pod jego ręką formowały się w kobiece ramiona i piersi.

– Słuchaj – zapytał nagle i poczuł, że się czerwieni – słuchaj, myślisz, że możliwe jest, by mężczyzna żył bez kobiety, dopóki nie spotka prawdziwej miłości? Przecież właściwie tego najbardziej się pragnie. Spotkania z kobietami, do których nic się nie czuje, z którymi nie ma się nic wspólnego, które noszą brudną bieliznę, przeklinają i myślą tylko o zapłacie, muszą być wstrętne.

Henrik Rissler też się lekko zaczerwienił.

– Czy możliwe dla mężczyzny? Tak, z pewnością są tacy. Ludzie bardzo się przecież różnią. Ale o sobie wiem już tyle, że dla mnie raczej nie będzie to możliwe. W każdym razie jeśli ta wielka miłość kazałaby na siebie długo czekać...

Zamilkli, patrząc na gwiazdę, błyszczącą coraz mocniej na ciemniejącym błękicie.

– Wenus – mruknął Martin. – Wenus. Duża i piękna gwiazda. Tylko nie rozumiem, po co jej imię. I tak nie przyjdzie, kiedy się ją zawoła.

Nagle Martin usłyszał obcy głos za swoim krzesłem.

– Prawda – powiedział głos – święta prawda! Nie przyjdzie, kiedy się ją zawoła. Smutne i trafne spostrzeżenie!

Martin odwrócił się zdziwiony. Nieznajomy był mężczyzną w studenckiej czapce, ubranym niedbale, o pociągłej, bladej twarzy, z czarnymi wąsami zasłaniającymi usta, tak że trudno było dostrzec, czy się uśmiecha, czy mówi poważnie. Twarz miał nieco za starą do białej – niezupełnie czystej – czapki.

Jeden z kolegów Martina stał obok i przedstawił: doktor Markel.

Doktor Markel przyszedł razem ze starszym bratem Billfelta. Przyjechali dzisiaj z Uppsali, zjedli obiad w Hasselbacken, a potem wprosilili się na imprezę. Starszy Billfelt wygłaszał właśnie w środku mowę. Martin dosłyszał o „Uppsali” i „alma mater”.

Doktor Markel dosiadł się po prostu do Henrika i Martina.

– Dwóch młodych poetów, mam rację? – zapytał. – Śmiem to zakładać, bo panowie siedzą samotnie, z dala od tłuszczy, rozmawiając o gwiazdach. Czy wolno mi zapytać panów o ich światopogląd? Wierzycie w Boga?

Henrik Rissler popatrzył zdziwiony na nieznajomego, a Martin potrząsnął głową.

Doktor Markel wyglądał na całkowicie poważnego, tylko lekka mgiełka przesłaniała mu oczy, duże i melancholijne.

Podeszło kilka osób i przysłuchiwało się rozmowie. Planius i Tullman przybrali uważny wyraz twarzy, z jakim nawykli w czasie lekcji słuchać wyjaśnień nauczyciela. Gabel uśmiechał się sarkastycznie swymi wąskimi szlacheckimi ustami, a za nim przepychał się Josef Marin. Niski, słabej postury, wyglądał blado, na przemęczonego nauką. Dwie lub trzy szklanki ponczu, które wypił, już go rozochociły, ale gdy usłyszał, że zadaje się poważne pytanie – i nie mogąc dostrzec, by kryła się w tym facecja – wtrącił z powagą, którą naprędce zdołał przywołać:

– Ja wierzę w Boga. Chociaż nie postrzegam go jako istoty podobnej do człowieka.

Doktor Markel wydawał się przyjemnie zaskoczony.

– O, pan jest panteistą, urocze! Pan też powinien zostać panteistą, skoro ma pan być poetą – zwrócił się do Martina. – Poetom i tym, którzy chcą uwodzić dziewczęta – a tego chcą wszyscy poeci – nie mogę niczego polecić równie gorąco, co światopoglądu panteistycznego. Nic nie nadaje się lepiej, by zawrócić w głowie młodej dziewczynie, od panteistycznych frazesów, jakimi Faust odpowiada na proste pytanie Małgorzaty: czy wierzysz w Boga? Gdyby odpowiedział wprost i niekwieście, jak zapytała: – nie, moje dziecko, nie wierzę w Boga – bądźcie pewni, że dziewczę przeżegnałoby się i uciekło do siebie, *ins stille Kdmmerlein*, i przekręciło klucz w zamku dwa razy. Zamiast tego

odpowiada, że zarówno wierzy, jak i nie wierzy, co sugeruje głębokie wewnętrzne zmagania i że Bóg to właściwie określenie uczucia, którego doznają zakochani, leżąc w jednym łóżku. Mówi z dużym patosem, ładnym językiem, by nie urazić jej skromności, przeciwnie, jej zdaniem on mówi jak pastor, a ciąg dalszy znamy. A dla poety... pozwólcie mi jednak wpieryw jako starszemu studentowi...

Doktor Markel z lekkością i obyciem przeszedł na „ty” ze wszystkimi, którzy znajdowali się w zasięgu bruderszaftu, po czym ciągnął:

– Dla poety panteizm jest skarbem, prawdziwą żyłą złota. Poeta chodzący do kościoła może wprawdzie liczyć na Order Karola XIII i wysokie dochody, ale czytany będzie tylko przez stare panny, a liberalne gazety, mające jednak najwięcej czytelników, będą go wyśmiewały. Jako ateista byłby uznawany za płytką i powierzchowną naturę, za złego człowieka i miałby kłopot z pożyczeniem pieniędzy. Nie, poeta powinien wierzyć w Boga, ale w boga będącego czymś niezwykłym, *noch nie dagewesenes*, jeszcze niepokazywanego w żadnym cyrku i którego nigdy do końca nie można zrozumieć, bo nie na tym polega dowcip. Panteistyczny bóg jest właśnie surowcem na takowego. To ideał boga. Każdy może go przyciąć wedle swego fasonu, nie wpada w złość, nie wymierza kar, co prawda, też nie nagradza, podchodzi do wszystkiego ze spokojem, a bierze się to stąd, że brak mu drobnej cechy, którą w pewnym stopniu mają nawet najzwyczajsze

łobuzy ze Stadsgarden: osobowości. To właśnie jest w nim najwspanialsze. Do boga z osobowością trzeba mieć osobisty stosunek, czyli być świętoszkiem. Bycie świętoszkiem ma sens, jeśli wyszło się z więzienia na Langholmen i trzeba się zrehabilitować. Inaczej jest zbędne. Widzicie, panowie, do czego zmierzam: stosunki z bogiem mającym osobowość przysparzają sporo niepotrzebnych kłopotów; całkowity brak boga jest zbyt ryzykowny. Dlatego trzeba mieć nieokreślonego boga. Takowy pobudza wyobraźnię i wypada dobrze w poezji, a nie pociąga za sobą zobowiązań. Z takim bogiem człowiek jest postrzegany przez wykształconych ludzi jako oświecony i szlachetnie myślący i w zasadzie może zostać, kim tylko chce: od arcybiskupa po naczelnego radykalnej gazety.

Podniosłe mówimy o nim „Wszechojciec”, na co dzień „Pan Bóg”. Właściwie nie potrzebuje imienia, jest mianowicie podobny do tamtej gwiazdy: i tak nie przyjdzie, kiedy się go zawoła.

Gest, którym doktor Markel szukał gwiazdy i niejako ją przywoływał, napotkał jedynie ciemne i zachmurzone przestworze, gdyż nadciągnęły duże chmury, gwiazda znikła, zrobiło się mroczno jak jesiennego wieczoru, a na balustradę spadały już pierwsze krople deszczu.

Wystąpienie doktora Markela nie wzbudziło zachwytu. Josef Marin, który podczas jego przemówienia popijał poncz i zrobił się jeszcze bledszy, mruknął coś, że powinno mu się obić gębę. Inni zastanawiali się w grupach nad wyjściem.

Starszy Billfelt wyczuł nastrój, zadzwonił po kelnera i zamówił szampana. Wzniósł kieliszek i ładnymi, okrągłymi zdaniem podziękował za serdeczność, z jaką on i jego przyjaciel, doktor Markel, reprezentanci Uppsali i alma mater, zostali przyjęci przez przyszłych alumnów. Po czym zapłacił za szampana i oddalił się razem z Markelem.

– Twój brat jest prawdziwym dżentelmenem – powiedział Gabel do Billfelta.

Padało, jakby otwarło się niebo. Stłoczyli się w tramwaju, żeby pojechać do miasta na kawę. Większość opowiedziała się za Hamburger Börs.

Martin, któremu zawsze wydawało się, że Hamburger Börs jest miejscem, gdzie niemieccy kupcy ze Sztokholmu spotykają się w interesach, ze zdziwieniem wkroczył do kawiarni, mając wrażenie, że ta promienieje bajecznym luksusem. Tu i ówdzie na kanapach siedziało kilku jego byłych nauczycieli oraz starszych jegomościów, wznoszących kieliszki i jowialnie kiwających głowami.

Podano im kawę i likiery. Rozmawiali o swoich planach na przyszłość. Większość wybierała się na prawo i zamierzała poświęcić lato na kursy przygotowawcze. Dobra atmosfera potęgowała się, padały nieopatrzne obietnice, że się nie rozstaną ani nie zapomną. U jednego końca stołu Gabel i Billfelt przysięgali sobie wieczną przyjaźń, u drugiego Jansson deklarował swe uczucia Mobergowi. Z trudem udało się powstrzymać Josefa Marina przed wygłaszaniem prorocत्व. Polegało

to na tym, że odczytywał długie teksty dowolnej treści, ogłoszenia matrymonialne z „Dagens Nyheter” przemieszane z fragmentami „Svei” Tegnera i teologii Norbecka, a całość wygłaszał podniosłym, śpiewnym tonem, jakim, według jego mniemania, Eliasz gromił Achaba, a Ezechiel przepowiadał upadek Izraela i Judy. Minęła godzina pierwsza, zbliżała się druga, ten i ów mówił już dobranoc i wychodził, zwłaszcza ci, którzy poważnie myśleli o nauce na kursach przygotowawczych. Goście wokół powoli się wykruszali, elektryczne światło już dawno zgaszono, paliło się jeszcze tylko kilka płomieni gazowych, kelnerzy stali z cierpiętniczymi minami, marząc o śnie oraz o napiwkach. Nie pozostawało nic innego, jak opuścić lokal.

Na ulicach i placach już dniało, deszcz przestał padać, ale powietrze było wilgotne, zimne i mgliste, a przez mgłę przeświecał zegar z kościoła św. Jakuba jak księżyc z „Fliegende Blatter”.

Trudno było im się rozstać, więc przeszli kawałek w stronę pasażu koło opery. Z Lagerlunden wychodzili poeci i dziennikarze; Martin przyglądał im się z szacunkiem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie mu dane znaleźć się wśród nich. Studenckie czapki bieleły się nocą, z prawa i lewa nadleciały mewki, wzięły młodych mężczyzn pod rękę, kusząc obietnicami pełni szczęścia, i wśród wesołych przekomarzań i niewinnych żartów poszli na plac Karola XII, bo Josef Marin uznał, że musi wygłosić proroctwo przed królem. Gdy je wygłaszał, Gabel objął wpół najładniejszą dziewczynę i zaczął z nią

walca wokół pomnika, Moberg poszedł za jego przykładem i ruszył w tan z podstarzałą bachantką, a Martin z bijącym sercem patrzył na małą, bladą niebogę o oczach jak czarny węgiel, myśląc, czy odważy się do niej podejść, ale kiedy się zastanawiał, Planius objął ją ramieniem i niezgrabnie odeszli, a Martin został sam, patrząc na pary wirujące we mgle. Na południu poranny wietrzyk zaczął już rozpraszać mgły, które przeciągały nad wodą jak biały dym, a krzyż na kopule Katariny płonął niczym Gwiazda Poranna w pierwszym blasku świtu.

Na nabrzeżu zamajaczyła sylwetka policjanta, który powoli zbliżał się w ich stronę, jedna z dziewcząt wydała krótki ostrzegawczy krzyk i grupa rozproszyła się na wszystkie strony. Gruba nimfa bez ceregieli wzięła Martina pod ramię.

– Muszę się ciebie trzymać, kochaneczku, bo inaczej gliniarz mnie zwinie. Zresztą możesz pójść ze mną, co? U mnie w domu jest naprawdę przytulnie, zobaczysz. Mam duże, eleganckie łóżko, a prześcieradła sama wyhaftowałam. Przed południem głównie haftuję, coś trzeba robić, a nie mogę ciągle z mamą grać w mariasza, jak inne dziewczyny, które przeklinają i zachowują się prostacko. Tego nie lubię, najbardziej lubię takich grzecznych i miłych chłopców jak ty. Jak będziesz naprawdę miły i będziesz mnie często odwiedzał, wyhaftuję ci na pamiątkę koszulę nocną. Aha, nie masz pieniędzy, kurde, to inna para kaloszy. Przyjdź więc, kiedy będziesz miał. Wystarczy, że zapytasz o Huldę. Powiedz, czy to prawda, że w Uppsali jest dziewczyna, którą nazywają Karolem

XII?

– Nie wiem – odrzekł Martin.

– Aha, no to na razie...

Nie do końca było prawdą, że Martin nie miał pieniędzy; zostało mu parę koron z honorarium za poemat, który wydrukował w „Henwannen”, ale powiedział tak, żeby nie zranić jej uczuć.

V

Martin długo nie mógł zasnąć. To ta mała, blada o czarnych oczach nie dawała mu spokoju. Stała z boku, taka przezroczysta, cicha i samotna, nie wzięła nikogo pod rękę, nie śmiała się, nie paplała jak inne. Kim była, jak trafiła na ulicę? Pewnie ktoś ją uwiódł i porzucił, może miała małe dziecko, które głodowałoby i marzło, gdyby nie zdobyła dla niego jedzenia i ubranek, sprzedając swoje ciało. Jakże by ją całował, trzymając w ramionach, jak by ją pieścił i obdarzał najczulszymi imionami, starając się sprawić, by zapomniała, kim jest, zwykłą uliczną dziewczyną, i kim jest on, przypadkowym, płacącym klientem jak wszyscy inni! Z kim teraz była, może z Planiusem? Co Planius dla niej znaczył? Nie był przystojniejszy od Martina, a do tego głupi jak młody leszcz. Należał do najgorszych kujonów, a mimo to na świadectwie dojrzałości dostał ledwie dostateczny. Dlaczego miałyby wybrać właśnie jego? Ale oczywiście nie dokonywała żadnego wyboru,

wzięła pierwszego lepszego. Martin rozumiał to i uważał za naturalne. Swego czasu oddała serce i duszę i nie miała już nic więcej do zaoferowania poza swoim ciałem, a czemu miałyby go komuś odmawiać, skoro taki miała zawód, skoro już upadła tak nisko, jak tylko człowiek może upaść? Ale gdyby Martin się z nią spotkał, gdyby go poznała, może wtedy jednak zakochałaby się w nim i rozpoczęła nowe życie? Dla niej poświęciłby wszystko, wszelkie marzenia o sławie poety, całą swą przyszłość poświęciłby dla niej, wybrałby zawód, w którym od razu mógłby zarobić na ich utrzymanie, pobraliby się i zamieszkali z dala od ludzi, w małym domku nad jeziorem głęboko w lesie. Pływaliby łódką w szuwarach, trawiąc godziny na marzeniach, dobijali do wysepek, by spędzić na nich całą noc, a gwiazdy płonęłyby nad ich głowami. Wszelkie smutki, wszelkie ponure wspomnienia szałowałyby z jej czoła, a jej dzieciątko kochał jak własne...

Martin snuł te fantazje, lecz jednocześnie z całą jasnością zdawał sobie sprawę, że w tych marzeniach nie kryło się nic więcej poza pożądaniem; głodem młodego mężczyzny za białym ciałem kobiety. Nocne godziny mijały, a im dłużej leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w szare światło sączące się zza rolety, tym dotkliwiej żałował, że odmówił tej drugiej, tej grubej.

Kiedy ktoś pyta młodego człowieka świeżo po maturze: kim chcesz być? nie może odpowiedzieć: poetą. Ludzie odwracaliby głowy, zasłaniając uśmiech. Może odpowiedzieć: prawnikiem, albo: artystą malarzem, albo: muzykiem; tych bowiem zawodów można nauczyć się na państwowych uczelniach, a już w okresie studiów człowiek musi mieć w społeczeństwie swoją półeczkę, na której może przysiąc, przegródkę, którą będzie zajmował, i już kimś jest: studentem uniwersytetu lub słuchaczem akademii sztuk pięknych czy konserwatorium. Niewiele to, ale jednak zawsze kostka cukru do rzucenia w paszczę wścibskich i w miarę zrozumiała przyszłość do pokazania życzliwym. Lecz ten, kto chce być poetą, nie jest niczym innym, jak tylko pośmiewiskiem dla Boga i ludzi, dopóki nie stanie się sławny i uznany. Dlatego przez długie lata nauki musi wieszać fałszywy szyld na drzwiach i udawać, że zajmuje się czymś, co ludzie naprawdę doceniają.

Martin to rozumiał i uważał za zupełnie naturalne, nie oczekiwał, że mogło być inaczej; więc gdy tata zapytał go, kim chce zostać, nie odpowiedział, że chce zostać poetą, tylko że postara się o stanowisko w jakimś urzędzie. Ojca ucieszyła ta odpowiedź, widział w niej oznakę, że jego syn będzie równie rozważny i szczęśliwy jak on sam. Bał się, że Martin może zechce wyjechać do Uppsali, by studiować estetykę, a czuł, że nie potrafiłby odmówić; drżał jednak na myśl o wszystkich tych wydatkach i strapieniach, jakie dla niezamożnego ojca rodziny oznacza

wysłanie syna na uniwersytet. Stąd odpowiedź, którą otrzymał, zachwycała go i nie miał żadnych zastrzeżeń poza tym, że Martin powinien starać się o posadę nie w jednym urzędzie, lecz w możliwie wielu; a wieczorem zaprosił go do kawiarni Blancha, gdzie słuchali muzyki i popijali grog.

Już następnego dnia wziął się do dzieła, rozmawiał ze znajomymi w różnych urzędach i pomagał Martinowi pisać podania.

VII

U dyrektora urzędu, w którym Martin przede wszystkim starał się o przyjęcie, musiał jednak złożyć wizytę osobiście o ósmej rano we fraku i białym szalu. Zmarznięty i głodny, bo nie zdążył nic zjeść, wszedł na schody cichego domu przy eleganckiej ulicy i zadzwonił do mieszkania dyrektora. Lokaj ze złotymi lampasami zaanonsował go, otwierając drzwi do ciemnego gabinetu z roletami podciągniętymi tylko do połowy. Różnorakie sztuki odzieży leżały porozrzucone na krzesłach, na lustrze toalety wisiała zielona wstęga orderowa, na progu zaś znajdował się nocnik i niewiele brakowało, by Martin się o niego potknął, ale zatrzymał się w porę z milczącym ukłonem. Na środku pokoju stał potężny starszy mężczyzna w purpurowym aksamitnym szlafroku, z namydloną brodą, gestykułujący brzytwą; z czerwonego aksamitu i białej piany podniósł się głos:

– Kawaler ma ładne świadectwo, ale proszę nie zapominać, że uczciwość i pracowitość są i będą najważniejsze w państwowej służbie. Kawaler jest przyjęty, niech stawi się jutro, żeby zacząć pracę, jeśli coś będzie do roboty. Przede wszystkim uczciwość! Zegnam.

Martin przyjął, że ten niegrzeczny ton należał do tradycji, więc się nie zraził. Przyszedł do urzędu, dostał miejsce przy stole i grubą księgę rachunkową do sprawdzania. Podliczał kolumnę za kolumną. Jeśli suma się zgadzała, miał postawić na marginesie parafę; jeśli nie, zrobić adnotację. Ale sumy zawsze się zgadzały. Z czasem Martin nabrał przekonania, że w tych rachunkach błędy w ogóle się nie pojawiają, a kiedy owo przekonanie się ugruntowało, przestał podliczać i tylko stawiał parafy. Kiedy odrywał się od swojej właściwej czy udawanej pracy, słuchał bzyczenia much, plusku deszczu o parapet albo rozmów i kłótni starszych, albo ślepeca grającego na flecie w podwórzu.

I mówił do siebie:

– To jest więc życie.

VIII

Lecz dla Martina to nie było życie. Dla niego była to kryjówka, azyl, w którym schronił się na jakiś czas – miał nadzieję, że jak najkrótszy.

Czytał i rozmyślał. Szukał w książkach i we własnych myślach tego, czego tak często szuka się w młodości, by na starość zapomnieć, że

kiedykolwiek łamało się nad tym głowę: życiowej wiary, gwiazdy przewodniej, ładu w świecie, sensu i celu.

Martin był wierzący do szesnastego roku życia. Jest czymś naturalnym, że dziecko uznaje za prawdę to, co mówią dorośli. I Martin wierzył, nie miał wątpliwości, a w niedzielę chodził razem z rodzicami do kościoła. Czuł się podniesiony na duchu, poruszony, jeśli ksiądz był krasomówcą i szarlatanem, i sam chciał zostać takim księdzem; natomiast gdy kazanie wygłaszał skromny, zacny człowiek, na miarę swoich umiejętności, bez podnoszenia głosu i gestykulowania, zwykle zasypiał. Kiedy miał szesnaście lat, przygotowywał się do konfirmacji. Religia była dotąd drobnym elementem szkolnych zajęć, jednym z wielu; teraz nagle stała się istotna, była czymś, co dzień w dzień zajmowało czas i myśli i nie zadowalało się tylko myślami: domagało się też uczuć, zwyczajowe bowiem były łzy przy „podchodzeniu”, i otwarcie chciało być na pierwszym miejscu, wiodącą siłą w życiu, jedyną ważną rzeczą. Martin nie mógł uniknąć konstatacji, że jeśli religia jest prawdą, ma do tego prawo, przede wszystkim do tego; wtedy musiał poświęcić jej wszystkie siły i całą duszę, być gorliwym wyznawcą. Lecz jeśli nie była prawdą, musiał szukać prawdy tam, gdzie mógł ją znaleźć, i zostać ateistą. Pośrednie rozwiązanie, chrześcijaństwo z nawyku i zwyczaju, praktykowane przez tak wielu, było dla niego płaskie i bezmyślne. Było to wyjście, które uznawał za naturalne dla większości swoich kolegów,

ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że może być otwarte dla niego. Stał u rozstaju dróg, zmuszony wybrać.

Lecz którejś nocy, gdy się nad tym zastanawiał, nie mogąc zasnąć, bo księżyc świecił prosto do pokoju, a myśli cisnęły mu się do głowy, nagle uświadomił sobie jasno, że nie wierzy. Jakby od dawna wiedział, że chrześcijaństwo jest religią, której nikt właściwie nie może wyznawać, jeśli chce być wobec siebie uczciwy. Dostrzegł wyraźnie, że problem prawdziwości chrześcijaństwa miał już za sobą, że dręczy go zupełnie inne pytanie: jak to możliwe, że inni wierzyli, a on nie? Przez „inni” rozumiał nie tylko kolegów, gdyż ci niewiele się o to troszczyli, poza tym był przekonany, że uwierzyliby w cokolwiek, lecz przede wszystkim rodziców, nauczycieli – dorosłych, którzy musieli wiedzieć o życiu i świecie więcej od niego. Jak to możliwe, że on, Martin Birck, który jeszcze nie skończył szesnastu lat i leżał w żelaznym łóżku w domu swoich rodziców, mógł myśleć inaczej o najwyższych i najważniejszych rzeczach niż starsi i doświadczeni, że on mógł mieć rację, a oni nie? Jawiło mu się to niemal równie obłąkańcze jak wiara, którą właśnie odrzucił. Na tym się zatrzymał, nie umiał tego rozwiązać. Podniósł się z łóżka i zbliżył do okna. Śnieg białął na dachach, w domach było ciemno, na ulicy pusto. Księżyc stał wysoko na niebie, ale był to zimowy, szarobiały księżyc, mały i zmarznięty, i nieskończenie daleki, a w jego poświacie gwiazdy mrugały sennie i blado. Martin rysował palcem po szybie. „Daj mi znak, Boże!”, szepnął. Długo stał przy oknie,

marzył i wpatrywał się w księżyc, widząc, jak przesuwa się, chowa za czarnym kominem fabrycznym i wylania po drugiej stronie. Lecz znaku nie dostał.

W głębi serca wcale go nie chciał; czuł bowiem, że przeświadczenia nie można i nie powinno uzyskiwać się w darze poprzez cud. Szukać prawdy i w tym szukaniu być uczciwym wobec siebie – to było jedyne wskazanie, jakie mógł znaleźć.

Martin myślał, że konfirmacja i przystąpienie do pierwszej komunii były obowiązkowe, nakazane przez prawo i że nie można się od nich uchylić. Jego tata myślał podobnie, a jeśli nie, to nic nie powiedział, gdyż wyznawał zasadę: mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Toteż Martin przystąpił do komunii razem z innymi konfirmantami. Wiosennego dnia ze słońcem i świeżą zielenią na wiekowych drzewach przy cmentarzu; gdy Martin usłyszał bicie i śpiew dzwonów, a organy zaintonowały psalm rozpoczynający mszę, oczy zasły mu łzami, a serce miał pełne smutku, że nie jest jak inni, że nie wierzy i nie przeżywa jak oni. Gdy zobaczył ten pełen powagi tłum w kościele i usłyszał głos nauczyciela nawołującego z kazalnicy, by młodzi trwali w wierze ojców, poczuł niepokój i rozterkę w głębi duszy, znowu wychynęło pytanie, które go przerażało: jak to możliwe, że oni wszyscy wierzą, a ja nie? Przecież szaleństwem jest myśleć, że mam rację wbrew im wszystkim, wbrew zmarłym spoczywającym w grobach przy kościele, najpierw żyjących, a potem umierających w wierze, którą ja odrzucam. To

szaleństwo, szaleństwo! Muszę przewyciężyć rozsądek i nauczyć się wierzyć. Lecz kiedy przystąpił do ceremonii i zobaczył księży, którzy przed ołtarzem szykowali chleb i wino, odzianych w alby z serwetkami przewieszonymi przez ramię jak u kelnerów, poczuł zawrót głowy i obrzydzenie i nie mógł zrozumieć, jak dał się na to nabrać. I chociaż wiedział czy myślał, że księża, snujący się tam w półmroku, poza amboną nie odbiegają uczciwością od innych ludzi, w tej chwili wydawali mu się bezwstydnymi oszustami.

Wiara w Boga i życie wieczne była tym, co w owym czasie pozostało Martinowi z dziecięcej wiary. Lecz jego bóg nie był już ojcowskim bogiem, który wysłuchiwał modlitw, przytakując im, jeśli brzmiały pożytecznie i rozsądnie, lub potrząsając głową w przypadku dziecinnych i głupich. Jego bóg stał się zimny i odległy, jak księżyc, w który Martin wpatrywał się zimowej nocy; zaprzestał też odmawiania wieczornej modlitwy, nie wierzył bowiem, że istnieje ktoś, kto jej słucha. A w końcu przyszedł dzień, w którym Martin zrozumiał, że do tego, co w ostatnim czasie nazywał bogiem, żaden człowiek nie mógł pozostawać w osobistej relacji miłości i posłuszeństwa czy nienawiści i wrogości i że określenie „bóg” przypadło temu wyłącznie wskutek swobodnego żonglowania słowami i nadużycia niedoskonałości języka. A kiedy analizował swoją wiarę w nieśmiertelność, szybko odkrył, że odszedł bardzo daleko od królestwa niebieskiego z dzieciństwa. Spozrzegł, że wszyscy, którzy opowiadali się za życiem wiecznym, ale na innej

podstawie niż objawienie, zakładali wcześniejsze życie, zdaniem Martina, konsekwentnie i logicznie. Wieczne jest tylko to, co istniało od zawsze. To, co kiedyś powstało, musi kiedyś przestać istnieć: takie jest prawo bytu. Martin nie miał natomiast wspomnień z wcześniejszej egzystencji, nie czytał też ani nie słyszał o nikim, kto choćby z odrobiną wiarygodności przytoczyłby takie wspomnienia. Byli wprawdzie ludzie, którzy twierdzili, że pamiętają swoją wcześniejszą egzystencję, ale zazwyczaj podawali się za postać historyczną znaną im w obecnym wcieleniu z ksiązek, na przykład za Juliusza Cezara czy Grzegorza VII. Jedynie wyjątkowo ktoś przypominał sobie, że był niewolnikiem, kelnerem czy subiektem. Ta okoliczność wydawała się zastanawiająca. A na pewno nie ulegało wątpliwości, że większość ludzi, w tym i Martin, nie miała jakichkolwiek wspomnień z poprzednich egzystencji. Wnioskował stąd, że i w przyszłym życiu nie pamiętałby nic z obecnego, ba, nie umiałby nawet podać, kim był; stwierdził więc, że jeśli takie dalsze życie nazywano nieśmiertelnością, były to znowu, podobnie jak w przypadku Boga, słabość myśli i igranie z niedoskonałością języka, nic więcej. Jeszcze dziwniejsze wydawało mu się określanie tym mianem odrodzenia martwego ciała w przyrodzie, w roślinach i w zwierzętach, w wodzie i w powietrzu. Nie przekonywały go takie słowne łamigłówki.

W ten sposób Martin wszedł w życie, nie mając innej wiary od tej, że wyrośnie, zestarzeje się i umrze jak drzewo w lesie, podobnie jak jego

przodkowie, i że ta zielona ziemia, którą postrzegał własnymi oczami, będzie jego jedynym domem pośród światów, jedynym miejscem, w którym będzie mu dane żyć i działać. Pomiedzy wieloma marzeniami, jakie roił o swoim życiu, znajdowało się i takie, że będzie niczym okazałe i piękne drzewo na skraju drogi, bujnie się zieleniące, dające wielu dobry chłód i schronienie.

Chciał szerzyć szczęście i harmonię, rozwiewać przesady; mówiłby i pisał tak, że wszyscy musieliby dostrzec, że ma rację. Nie był do końca przekonany, że prawda sama w sobie daje szczęście, ale historia nauczyła go, że zabobony przynosiły nieszczęścia i zbrodnie. Niczym pomór przeciągały religie przez świat; zdumiewał się na myśl o spustoszeniach, jakie chrześcijaństwo poczyniło w swej drodze przez epoki i ludy. Wierzył jednak niezłomie, że dni chrześcijaństwa były policzone. Miał poczucie, iż żyje u zarania nowych czasów, i chciał uczestniczyć w tym, jak myśl i słowo torują drogę temu, co nadchodzi. W okresie gdy żywił taką wiarę i przekonanie, nadal wydawało mu się, że życie, choć krótkie i złudne, mimo wszystko ma sens. Czuł, że się rozwija, każdego dnia jego myśli odkrywały nowe prawdy, a jego zmysły nowe piękno w trakcie długich, samotnych wędrówek po obrzeżach miasta czy w lesie u zarania wiosny. Wiosna... W tym czasie nadal była prawdziwą wiosną – nie chorobą, nie odurzeniem, nie gorączką krwi, w której wzbierają niedosyt i tęsknota, stare i na wpół zapomniane, mówiąc: patrz, oto jesteśmy, poznajesz nas? byłyśmy długo

uśpione, ale nie umarliśmy! Nie, nie będąca czymś takim, lecz przebudzeniem, porankiem, świegotem w powietrzu, dźwięczną pieśnią. Tysiące niezaspokojonych pragnień, które nosił w sobie, były wówczas tysiącami promiennych nadziei i na wpół wypowiedzianych obietnic, bo lata pustki i rozczarowań nie zdążyły jeszcze wyostrzyć ich w tnące noże, które kaleczą i ranią duszę. I nawet jeśli wcale nie zakładał, że wszystkie te przyrzeczenia czy choćby większość z nich zostaną spełnione przez życie, to jednak były tam jako kuszące możliwości, jak pomost do marzeń bez mety i granic, i nawet w chwilach, gdy książka, którą trzymał w ręku, czy doświadczenie, które zebrał w ciągu dnia, podszeptowały mu do ucha ostrzeżenia i zlewały się w tęsknotę pozbawioną goryczy i melancholii, w wiosenny wieczór.

Wszelako kiedy pojawiały się te ostrzeżenia i coraz częściej w środku tych marzeń, którymi mamiła go młoda krew, łapał się na tym, że słucha owego drugiego głosu, głosu dochodzącego z głębi najdawniejszych czasów i odbijającego się echem we współczesnych książkach, osobliwego głosu, którego nie zdołała zagłuszyć dłużej niż na chwilę żadna z setek nowych ewangelii, okresowo niczym wiosenne sztormy przewalających się przez ludzkie umysły, głosu mówiącego: wszystko jest marnością, nie ma nic nowego pod słońcem. Dlaczego żył, jaki to miało sens? Nie przestał zadawać sobie tych pytań, wciąż bowiem wymagał od tego życia, które widział na własne oczy, żeby coś się pod nim kryło, coś, co można nazwać sensem życia. Zarówno to szczęście,

które było udziałem ludzi, jak i to, do którego dążyli, wydawało mu się baśniowym złotem zmieniającym się w zwiędłe liście albo śmieszna zabawką, nie zaś czymś, co można traktować poważnie. Gdy kierował spojrzenie na swoje życie, takie, jakie prowadził z dnia na dzień, nie mógł nie przyznać, że właściwie jest żalosne i puste, a jego jedyna wartość kryje się w niepewnej nadziei, że nie zawsze takim będzie. Lecz ta nadzieja nie dotyczyła rzeczy, które można osiągnąć krok po kroku, pracą, cierpliwością i setkami drobnych wyrzeczeń – dobrobytu i poważania, które inni uzyskali przed nim; on chciał, oczekiwał czegoś nieokreślonego, niedefiniowalnego: wschodu słońca, topnienia lodów, obudzenia z żalosego, bezsensownego snu.

Albowiem żalosem, poplątany snem wydawało mu się własne życie, gdy spoglądał na nie trzeźwym wzrokiem i odkrywał, że wypełniają je uboga radość, pospolite smutki i tuzinkowe kłopoty. Pisał od czasu do czasu wiersze i opowiadania, żeby zarobić trochę pieniędzy i sprawdzić, jak dalece słowa nadążają za myślami, ale każdego roku wszystko, co napisał w poprzednim, uznawał za dziecinne i bezwartościowe, nie przeradzało się to w coś dającego pełną radość tworzenia. Poza tym niemal automatycznie wykonywał działania czy raczej gesty, które zazwyczaj składają się na zachowanie młodego człowieka pracującego w urzędzie bądź są spowodowane zwykłymi okolicznościami. Przychodził do pracy tak późno, jak się dało, i wychodził na tyle wcześnie, na ile pozwalała przyzwoitość.

Nawiązywał znajomości z innymi urzędnikami i brał udział w ich rozrywkach. Chodził na przyjęcia, pił poncz i spotykał się z tanimi dziewczętami; kochał muzykę i często zajmował miejsce w operze wśród piątego rzędu kominiarzy i entuzjastów muzyki, śpiewał też kwartety i przyjęto go w poczet towarzystwa Par Bricole, przy czym stary dyrektor szkoły o ojcowsko błogosławiących rękach powiesił mu na szyi złożony lejek na różowej wstążce.

I mówił do siebie:

– Nie, ja śnię. To nie jest życie.

IX

Minęły lata.

Martin włóczył się o zmierzchu. Place i ulice były białe, śnieg padał miękko i cicho. Przed nim zygzakiem szedł człowiek zapalający to tu, to tam latarnię.

Martin krążył bez celu, nie zwracał uwagi, którądy idzie.

Nagle uświadomił sobie, że płacze. Właściwie nie wiedział dlaczego. Na ogół nie był skłonny do płaczu. Kilka płatków śniegu musiało osiąść mu na rzęsach, zwilżając oczy... Skręcił w boczną uliczkę i dotarł do małego parku, minął na wpół zasypaną śniegiem parę na ławce i wszedł

głębiej między drzewa, gdzie było pusto i samotnie, a gałęzie zwieszały się ciężkie od mokrego śniegu.

...Dziwne. Rudera w zaułku; kopcząca lampa. Dwa nagie ramiona wyciągające się przy oknie i odgłos opuszczanej rolety. I dziewczyna, która nuciła piosenkę z ostatniego *varietes*, wolno i obojętnie rozpinając haftki czerwonego lejbika – nuciła, żeby nie rozmawiać – była ładna czy brzydka? Nie wiedział, prawie na nią nie patrzył. To nie do niej tęsknił.

W zapadającym zmroku, lodowatoniebieskawym zmierzchu marcowego popołudnia, siedział w domu, przerabiając stary wiersz, którego nigdy nie mógł skończyć. Naraz zaczął myśleć o pewnej kobiecie. Zobaczył ją w południe, gdy wyszedł z urzędu, i jakby doznał nagłego odurzenia. Szła w promieniach słońca, a wielu mężczyzn odwracało za nią głowy. Zdawała się jednak tego nie dostrzegać ani miarkować. Była młodziutka, osiemnaście, może dwadzieścia lat. Ubrana ani bogato, ani biednie, ale głowę trzymała lekko i beztrosko, trochę może też dumnie, szła smukła i wyprostowana, z kasztanowymi włosami błyszczącymi w słońcu, chwilami uśmiechając się do siebie. Poszedł za nią w pewnej odległości, a ona skierowała się na Ostermalm, aż w końcu mu znikła w jakiejś bramie.

A teraz w zmierzchu, gdy siedział na bujaku, szukając rymów, objawiła mu się ponownie i nie dawała spokoju, odrzucił pióro i wyszedł. Słońce już się schowało, padał śnieg. Dotarł do wysokiej szarej kamienicy, gdzie widział ją wchodzącą, i zaczął przechadzać się

po chodniku, patrzył, jak to w tym, to w tamtym oknie zapala się światło. Kim była? Przypomniawszy sobie, że widział, jak pozdrawiała jego znajomego. Wszedł na klatkę schodową i jął odczytywać nazwiska na drzwiach, w końcu uznał, że zachowuje się dziecinnie i głupio, postawił kołnierz płaszcza i z powrotem wyszedł na prószący śnieg. Wziął pod ramię pierwszą dziewczynę, która rzuciła mu znaczące spojrzenie.

Stał teraz w jej pokoiku, zdrętwiały i milczący, i patrzył, jak ona się rozbiera, mówiła przy tym i nuciała. Właściwie nie zadawał sobie pytania, czy jest ładna. Wiedział, że mogła być ładniejsza i wcale by go bardziej nie pociągała, albo brzydsza, i nie pociągałaby go mniej. Była naznaczona przez swój zawód. Jeszcze młoda, a jednak rzucało się w oczy, że dawno już przestała przebierać i wybrzydzać wśród klientów. Powtarzanymi gestami nawykłej ręki, szorstkiej ręki robotnicy, rozpinając haftki zgrzebnego gorsetu przed każdym, kto chciał, przed porucznikiem i księgowym, przed sędzią i kelnerem, nie robiąc różnicy między nimi, o ile w duchu nie wolała kelnera, bo mniej wyniosły i lepiej ją rozumiał. Skąd pochodziła? Może z podwórka ze śmietnikiem i wychodkiem, może z wiejskiej chaty, co bardziej prawdopodobne. Leśne jeziora nadal pobłyskiwały w jej oczach. Roześmiana wśród roześmianych dzieci biegała boso po lesie, zbierając poziomki. Równolatki wcześniej nauczyli ją smakować zakazany owoc. Potem trafiła do miasta i poszła w ślady wielu swoich poprzedniczek. Może wcale nie z konieczności, może oświadczył się jej jakiś robotnik, ale uznała, że to

zbyt ciężki los, i bez większego namysłu obrała najwygodniejszą, jej zdaniem, drogę. Przy odrobinie sprytu i szczęścia mogłaby chyba nawet zostać żoną mieszczanina, która chadza na targ ze służącą i targuje się o sztukę mięsa z chrzanem...

– No co? – zapytała. – Nie rozbierzesz się?

Spojrzał na nią tępo, nagle nic nie rozumiejąc, dlaczego tu przyszedł, czego od niej chciał. Wymamrotał coś, że źle się czuje, położył kilka koron na umywalce i wyszedł. Nie była zła, tylko zdziwiona, i nie rzucała za nim wyzwiskami.

Nadal padał śnieg. Czy ta zima nigdy się nie skończy? Dochodził koniec marca, a drzewa uginały się pod śniegiem, panował dotkliwy mróz...

Martin był zmęczony, usiadł na ławce pod jednym z tych białych drzew, pozwalając, by puch gromadził się na kapeluszu i ramionach.

– Co my, ludzie, robimy z naszym życiem?

Życie, jakie prowadził, marne radości, jakich szukał i czasami znajdował, były dlań w tej chwili rojeniem szaleńca. A jednak takie życie należało do normalnych. Większość mężczyzn, których znał, takie prowadziła. Miał dwadzieścia trzy lata. Od czterech czy pięciu brał w tym udział, powinien już być się przyzwyczaić...

Nie, nie rozumiał ludzi, nie rozumiał również siebie. Przysłuchiwał się często rozmowom kolegów i znajomych o tych rzeczach. Zauważył,

że większość porządnych młodych mężczyzn, starszych zresztą też, wierzyła w dwa rodzaje miłości: czystą i zmysłową. Młode dziewczęta z dobrych rodzin należało kochać tą czystą miłością, ale to oznaczało zaręczyny i małżeństwo, a mało kogo było na nie stać. Stąd z reguły tylko bogatsze dziewczęta mogły inspirować do czystej miłości, a tak należała niestety raczej do sfery lirycznej poezji niż do rzeczywistości. Natomiast drugiemu rodzajowi, zmysłowemu, taki młody człowiek mógł i powinien oddawać się mniej więcej raz w tygodniu. Lecz całej tej aktywności nie przypisywano większego znaczenia, nie było to coś, co mogło uszczęśliwić lub unieszczęśliwić, lecz jedynie komika; materiał na zabawne historie, przyjemna i higieniczna rozrywka po podjęciu pensji i wypiciu ćwiartki ponczu. Między poszczególnymi eskapadami życie seksualne mało jednak zajmowało najszacowniejszych i przyzwoitych mężczyzn; uznawali te czynności za brzydkie i nieprzyzwoite czy – jak sami to głośno mówili – świńskie, bowiem nie mogli ich wykonywać, nie czując się świniami.

Takie pojmowanie tych spraw dominowało w społeczeństwie, a skoro warunki były, jakie były, ów sposób życia uznawano za najzdrowszy i najrozsądniejszy, oczywiście nie w kazaniach księży, przemowach parlamentarzystów czy w gazetowych komentarzach, tylko w światłej męskiej opinii, przekazywanej z ust do ust we wszystkich kręgach. Postrzegano to jako konieczność, by młodzi mężczyźni zachowali zdrowie i odpowiednie samopoczucie, a młode dziewczęta z dobrych

rodzin wielką cnotę. I młodzi mężczyźni pili poncz, odwiedzali kobiety lekkich obyczajów, tyli, czerwienieli na twarzach, ale nie udawało im się ograniczyć takiego życia do nędznej namiastki, rozsmakowywali w nim do tego stopnia, że często nawet jako żonaci nie pogardzali wypadami do starych miejsc, które przypadły im do gustu. A młode dziewczęta z dobrych rodzin zachowywały swą wielką cnotę, zresztą nikt je o zdanie nie pytał, ale dla niektórych ten drogi klejnot stawał się zbyt ciężki...

– Co my, ludzie, zrobiliśmy z naszym życiem?

Szczęście, radość młodości, gdzie się podziały? Życie jest stworzone dla starych, dlatego być młodym to dopust. Jest stworzone dla bezmyślnych i leniwych, dla tych, co biorą fałsz za prawdę lub nawet wolą fałsz, chorobą jest myśleć i czuć, chorobą wieku dziecięcego, przez którą mężczyzna musi przejść, zanim stanie się mężczyzną...

Cień kobiety przesunął się wolno mimo ławki, na której siedział Martin, a ledwo przeszła, odwróciła głowę i utkwiała w nim dwoje dużych, ciemnych oczu.

Podniósł się, otrzepał ze śniegu i poszedł przed siebie.

Szybkim krokiem, bo było mu zimno.

Myślał o życiu i książkach. W czasach, gdy dorastał, przebiła się nowa literatura, która sprzeciwiała się panującej w społeczeństwie moralności i dążyła do jej zmiany. Teraz zamilkła. Nie zdziałała wiele, prawie nic, a już dała za wygraną. To, o co walczono, w imię czego wymierzano i przyjmowano druzgocące ciosy, nagle okazało się „latami

osiemdziesiątymi”, czymś raz na zawsze sprawdzonym i osądzonym, zważonym na wadze i uznanym za zbyt ciężkie. Wokół niego zaś, jak nigdy dotąd, swą woń rozstaczał błękitny kwiat poezji. Ponownie stare słowa brzmiały jak nowe; ziemia znowu stała się młoda, lasy i wody wypełniły się centaurami i nimfami, rycerze i dziewice przechadzali się o zachodzie słońca, na powrót Pieśń we własnej osobie, z szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi po długim śnie, była wśród ludzi, śpiewając, jak nie śpiewała od stu lat. Martin kochał tę poezję, jej rytmy i słowa zakradały się nawet do wierszy, które sam klecił wieczorami, a jednak jakoś to wszystko było dla niego dziwnie obce. Świat się przecież nie zmienił, życie toczyło się utartym trybem, nie odniesiono zwycięstwa – czy to był czas na śpiewy? Owszem, gdy przyglądał się dokładniej, znajdował na dnie tej nowej poezji idee też jaskrawo sprzeczne z obowiązującą moralnością. Lecz dostrzegali je nieliczni, a prawie nikt nie przywiązywał do nich wagi. To były przecież wiersze!

To były wiersze, a jako forum dla poglądów poezja sytuowała się mniej więcej na poziomie opery królewskiej. Tam baryton mógł wrzeszczeć wniebogłosy przeciwko tyranom, bynajmniej nie ryzykując utraty Orderu Wazów, tam też odgrywano w bengalskim świetle sceny uwodzenia i nikt się nie gorszył; to, co w zwykłym życiu zwykli ludzie nazywali świństwami, w „Fauście” i „Romeo i Julii” ci sami ludzie uważali za poetyckie i piękne, i całkowicie odpowiednie dla młodych dziewcząt. Podobnie w poezji. Idee, ubrane w wersy i ładne słowa,

przestawały być kontrabandą; ledwie je zauważano.

Czyż nie mógł jeszcze raz przyjść człowiek, który nie będzie śpiewał, tylko mówił, dobitnie mówił!

...Wyszedł na Strandvagen. Lód w Nybroviken świeżo skruszono, jakiś holownik, stękając, przedzierał się przez krę. Po lewej, w śnieżnej kurzawie wznosiły się nowo wybudowane domy milionerów, w jednym z nich z długiej amfilady pokoi błyszcząły już elektryczne światło i wyszlifowane pryzmaty, a w dużej sali za muślinem firanek poruszała się bielejąca płatanina tańczących par.

Kilku samotnych przechodniów zbiło się w gromadkę, która wpatrywała się w ten raj jak zahipnotyzowana. Martin też zatrzymał się na minutę, po czym zamyślony poszedł dalej. Parę taktów walca wpadło mu do ucha, były to „Fale Dunaju”; nucił je, nie chciały go opuścić.

Och, Erosie, Erosie. Pokoik ładaczniczy i ta sala balowa... W obu świątyniach czczono tego samego boga, w obu czcili go ci sami mężczyźni. Lecz kobiety...

Nie umiał tańczyć, mimo to uwielbiał bale. Lubił stać w drzwiach i patrzeć, jak inni wirują w tańcu. Cóż to był za nastrój na tych zabawach młodości, który go oczarowywał, wprawiał w zadumę i tęsknotę za niemożliwym? Widzieć kobiety... Mocno objęte przez męskie ramiona, z przymkniętymi oczami, z ustami otwartymi, przesuwały się najniewinniejsze dziewczęta, w sukniach, które odsłaniały, uwydatniały

ich młode, unoszone oddechem biusty. O czym myślały, o czym marzyły? Z pewnością były i takie, które nie myślały o niczym, marzyły o błahostkach i nie miały innych życzeń niż przebierać nogami i zażyć trochę ruchu, prawdziwe młode dziewczęta zgodnie z wyobrażeniem matek i ciotek. Lecz chyba nie wszystkie. Nie mogły się człowiecze córki aż tak bardzo zmienić od tych nie nazbyt odległych czasów, gdy młodzieńcy i dziewice nosili w procesjach wizerunki fallusa, śpiewając nabożne pieśni. O czym rozmawiają te młode dziewczęta, gdy szepczą zebrane w kącie? „Oni są w tajemnicy zaręczeni”; „On ją kocha, ale ona woli innego”. O czym mówią książki, które czytają? O tym samym: kto kogo kocha, jak potoczyły się ich losy i kto ją zdobył. Co znaczy, że on ją „zdożył”? Tego można dowiedzieć się w noc poślubną.

Ale lata mijają, a ślub każe czasami na siebie czekać. Młoda dziewczyna kończy dwadzieścia pięć lat, zbliża się do trzydziestki, nadal tańczy na balach z przymkniętymi oczami, ale ust nie ma już otwartych, wie, że teraz jej nie przystoi, więc trzyma je kurczowo zaciśnięte w krwistoczerwoną kreskę. Czy nigdy nie nastąpi ta wielka, wspaniała rzecz? Jej spojrzenie jest spojrzeniem tonącej. Ratujcie mnie, tonę, idę na dno. Młodość jest taka krótka, patrzcie, skóra już blednie, pierś opada, mój młody kwiat więdnie. Próbuje być bardziej wyzywająca i śmielsza, boi się, że wcześniej była zbyt nieśmiała, że może nie był to właściwy sposób... Lecz w męskim gronie już śmieją się z niej ukradkiem, przepijając do siebie przy ponczu, a niektórzy otwarcie z niej szydzą.

Inni rozumieją ją lepiej, po cichu myśląc, że byłaby dobrą żoną i namiętną kochanką. Nie chcą się jednak żenić, uwieść dziewczynę z dobrego domu to też zbyt śliska historia, a przecież po wyjściu z balu łatwo i bez kłopotu znajdą drogę do dobrze im znanego pokoiku z kopnącą lampą lub czerwoną amplą z Lei u sufitu.

– Co my, mężczyźni, robimy z naszym i ich życiem?

Martin zawrócił w stronę miasta.

Na jednym ze skrzyżowań spotkał zmarzniętego poetę w cienkiej zielonożółtej jesionce. Był kilka lat starszy od Martina i cieszył się już pewną sławą, gdyż z bajeczną łatwością pisał przepiękne wiersze, głównie o dziewczętach, kwiatach i o czerwcowych nocach na równinach Skanii, z której pochodził. Miał bladą twarz i rzadką rudą brodę; kiedy zobaczył kolegę twórcę, jego duże dziecięce oczy nabrały dzikiego, świdrującego wyrazu, jakby naradzał się sam ze sobą: mam go zamordować czy może wybierzemy się gdzieś spożyć alkohol?

Weszli do Anglais, żeby się napić zielonego *chartreuse*.

Poeta mówił o sobie. Zwierzył się Martinowi, że jest dekadentem. Żywił sentyment do wszystkiego, co znajdowało się w stanie rozpadu i rozkładu, było skazane na zagładę. Nienawidził słońca i światła – z goryczą uniósł zaciśniętą pięść ku lampie gazowej u sufitu – kochał noc, grzech i wszelkie trunki o zielonkawym odcieniu. Miał większość znanych chorób wenerycznych, a także agorafobię. Za nic w świecie nie

przeszedłby na skos przez plac Gustawa Adolfa. Ta choroba sprawiała mu szczególną radość, traktował ją bowiem jako zwiastun *paralysie generale*. *K paralysie generale* to był wielki sen, to była Nirwana.

Martin słuchał w roztargnieniu. Światło jest dobre, mówił do siebie, i ciemność też jest dobra. Ale czasami ciemność jest zła i światło również...

– Lecz jak to się dzieje – zapytał – że twoje wiersze niczym właściwie nie różnią się od tych nagradzanych zwykle przez Akademię?

Przy tych słowach wzrok poety spochmurniał, a usta zacisnęły się w wąską, cienką kreskę. Wyciągnął z kieszeni nóż w brudnej pochwie, wydobył go do połowy i położył palec na odsłoniętym ostrzu.

– Jak głęboko zniesiesz zimną stal?

– Źle mnie zrozumiałeś. – Martin położył mu uspokajająco rękę na ramieniu. – Uwielbiam twoje wiersze. Tylko nie dostrzegam związku między nimi a twoim życiem wewnętrznym, takim, jakie przed chwilą opisałeś...

Poeta uśmiechnął się.

– To zabawne usłyszeć, że uwielbiasz moje wiersze. Te, które dotąd opublikowałem, są mianowicie szmirą. Nadają się dla plebsu. Zobacz...

Wyciągnął z kieszeni gazetowy wycinek, recenzję swojego ostatniego tomiku podpisaną znanym nazwiskiem. Renomowany krytyk wyrażał łagodne zastrzeżenia, że w niektórych wierszach nie udało się uniknąć drobnego nalotu sensualizmu, który robił nie najlepsze wrażenie. Za to

w innych poeta trafił w czystsze tony, co znakomicie rokowało na przyszłość.

– Aha, całkiem pozytywnie – stwierdził Martin po przeczytaniu.

– Pozytywnie? – Poeta znowu kurczowo chwycił za tę kieszeń, w której znajdował się nóż. – Pozytywnie, mówisz? Czy ktoś taki jak on nie powinien padać na kolana przed najlichszym z moich wierszy?

– Owszem – przyznał Martin – oczywiście, no ale skoro nie przyjęło się, żeby starsi wykonywali takie oto gesty wobec młodszych...

Poeta zamilkł, napił się *chartreuse* i milczał dalej.

Martin też wypił. Mocny zielony trunek palił w podniebienie, docierał do mózgu. I znów pojawiła się kobieta z przedpołudnia, ta, która szła uśmiechnięta w promieniach słońca. Spała teraz może, śniła, pogrążała się w marzeniach sennych? Czy też przewracała się bezsennie na łóżku, tęskniąc za mężczyzną?

A gdyby do niej napisał? Łatwo mógł ustalić, jak się nazywa. Nie. Pokazałaby tylko list przyjaciółkom, a one zaśmiewałyby się i chichotały...

Kawiarnia była niemal pusta. Jedyne w odległym kącie siedział jakiś stały bywalec zasłonięty gazetą. W lustrze na ścianie odbijał się starszy dżentelmen z siwymi bokobrodami i czerwoną jedwabną chusteczką wystającą z kieszonki na piersi. Patrzył spokojnym, poważnym wzrokiem na bufetową. Tęgą, czerwoną i białą, czerwoną z natury, białą od pudru, biust i łokcie oparła na bufecie, przypominała sfinksa.

Poeta wydał westchnienie. Martin spojrział na niego – na dziecięcą twarz pod rudobrodą maską zbrojcy – pomyślał, że może go uraził, i odczuł potrzebę powiedzenia mu czegoś miłego.

– Wiesz co, gdybyś zgolił brodę, z pewnością wyglądałbyś jak żałosny mnich.

Poeta rozpromienił się.

– Może masz rację – przyznał, szukając wzrokiem swojego odbicia w lustrze. – Prawdę mówiąc, napisałem kilka wierszy o katolickim wydźwięku. Powinieneś kiedyś przeczytać moje wiersze, te prawdziwe, niedrukowane.

– Zgoda – powiedział Martin – gdzie mieszkasz?

Poeta wyjaśnił, że nigdzie nie mieszka. Od trzech tygodni nie miał swego lokum, zresztą żadnego nie potrzebował. Wiersze pisywał przy kawiarnianym stoliku, a sypiał u dziewcząt, u jednej z nich miał swój pasiasty, zielony sakwojaż, w którym trzymał swe odpinane kołnierzyki, poezje Verlaine'a i własne manuskrypty.

Na Martinie zrobiło to duże wrażenie, ale nie znalazł słów, by wyrazić swoje odczucia, i ponownie milczenie zaległo między tą dwójką, którą przypadek zetknął na skrzyżowaniu ulic.

Wybiła dwunasta, płomień gazu zmniejszono o połowę, a poeta poczuł nadchodzące wraz z ciemnością natchnienie i zaczął na stoliku pisać wiersz.

Martin życzył dobrej nocy.

Na Stureplan było biało i pusto. Śnieg przestał padać, wzeszedł księżyc i panował jeszcze sroższy mróz. Na wschód otwierała się nowa ulica pozbawiona domów, jak duża dziura w ścianie. Po zachodniej stronie skupiły się w księżycowej poświacie zaśnieżone rudery i murowane budynki, a na jednej z ulic grzechu, które tamtędy przemykały, rozbrzmiał kobiecy śmiech i trzask otwieranej, a potem zamykanej bramy.

X

Było późno, kiedy Martin dotarł do domu; choć śmiertelnie zmęczony, nie mógł jednak zasnąć. Czarne ćmy latały mu przed oczyma, myśli i rytmy napływały, gdy tak leżał, wpatrując się w ciemność. Usiadł na łóżku i ponownie zapalił lampkę na nocnym stoliku, na którym zawsze miał pod ręką papier i pióro. Nie czuł rozgorączkowania ani podniecenia, jedynie głębokie zmęczenie, dokuczliwe, ale nie zwodnicze; widział wyraźnie, w którym miejscu myśl zawodzi i potrzebuje wsparcia rytmu, melodii; zmieniał, wygładzał, aż w końcu powstał wiersz.

*O Ty na wysokościach,
co jesteś głuchy i niemy!*

*O Ty na wysokościach,
co prawą obejmujesz dłonią
pachnący i zdrowy*

*Dobra owoc,
a lewą ręką miażdżysz
robaczywe gniazdo Zła,
ciężkie od trującego odoru,
z równą rozkoszą!*

*O Ty na wysokościach,
którego wzrok zmętniał
od pustki kosmosu –
do Ciebie zanoszę modlitwę.*

*Modlitwę, tę jedną,
której nie usłyszysz
i nie wysłuchasz: naucz mnie,
naucz mnie zapomnieć,
że spojrzałem Ci w oczy.*

*Zważ,
że w młodości
sam stworzyłem sobie boga
na własne podobieństwo,
ciepłego boga, który żył i walczył,
i wyruszyłem któregoś dnia,*

*by go szukać na ziemi i na niebie.
Nie jego odnalazłem,
lecz Ciebie.
Nie boga życia,
lecz śmierci, pod maską życia ukrytego.*

*Odbierz mi wspomnienie Twego widoku,
Okrutniku! To wspomnienie
jest jak podstępna choroba,
jak robak, który podgryza
korzeń drzewa mojego życia.
Wiem dobrze,
że z każdym zmarnowanym rokiem,
każdym dniem, co próżnie przemija,
on wgryza się głębiej, bliżej rdzenia.
Gryzie i szarpie
wszystko to, co we mnie ludzkie
i szlachetne,
wszystko to, dzięki czemu mam odwagę,
co jest mą wolą
i czynem,
i nie oszczędza
cudownego duszy kruchego zegara,*

który wskazuje Dobro i Zło.

Powiedz, o Ty na wysokościach,

czy taka jest Twoja woła,

by stworzyć mnie od nowa

na własne podobieństwo?

Czy tak należy rozumieć Słowo:

Ten, co ujrzał Boga, umrzeć musi?

Okrutniku,

nie wahasz się zarażać

mnie, dziecko ludzkości

twym boskim kalectwem?

XI

Popołudniowe słońce padało na biurko, wszystko pozłacając, przybory do pisania, książki i słowa, które nanosił na papier. Dym z kominów unosił się prosto i spokojnie ku niebu, a w oknie naprzeciwko młoda Żydówka bawiła się ze swoim dzieckiem.

Martin pisał do siostry.

Kochana Mano, dziękuję za list. Mama stale choruje, może w ostatnich tygodniach było trochę lepiej. Tata się nie zmienił, tylko

z każdym rokiem robi się coraz bardziej milczący. Toteż dom stał się całkiem cichy, bo, jak wiesz, i ja nie należę do tych, co lubią mówić bez potrzeby. Milczenie jest złotem! Wujek Janne, ciocia Louise etc. niestety nadal żyją i cieszą się dobrym zdrowiem, choć właściwie nie ma to znaczenia, bo pewnie i tak nie będziemy po nich dziedziczyć. Wyprowadzają mnie z równowagi, pytając ciągle o moje perspektywy w urzędzie, czy teraz nie kolej taty, by dostał Order Wazów, czy to prawda, że twój mąż nadużywa morfiny itd. Poza tym trudno jednak mieć do nich o coś pretensje.

Pytasz, czy dużo teraz piszę – nie, bardzo mało, ale od dłuższego czasu pełnię funkcję sekretarza, a dziś w nocy śniło mi się, bardzo wyraźnie, że tata i ja dostaliśmy razem jeden order, bo król nie miał pieniędzy na dwa.

Dziękuję za zaproszenie, żebym przyjechał do was na lato, ale raczej mi się nie uda – przez lato będę chyba jeszcze pełnił obowiązki sekretarza. To przykre, że twój mąż jest taki znerwicowany. Cieszę się, że twój synek czuje się dobrze. Pozdrawiamy wszyscy.

Twój brat Martin

Wsunął list do koperty i odłożył na bok.

Myślał o swojej siostrze.

Czy jest szczęśliwa? – zapytał sam siebie. I był zmuszony odpowiedzieć: nie, nie jest. Choć może nie zdaje sobie z tego sprawy.

Przed sześciu laty była bardzo szczęśliwa, gdy wychodziła za mąż, została doktorową i panią własnego domku na wsi, spełniło się jej największe marzenie. Potem bynajmniej nie spadła nagle ze szczytu szczęścia. Zsunęła się powoli, jak to z biegiem lat zwykle bywa. Męża ma kochanego, uzdolnionego, jest dobrym lekarzem, ale często zadziera z bogatymi w swej okolicy i praktykuje głównie wśród biednych. Stąd czasami brakuje im pieniędzy. Poza tym obawiam się, że podupadł na zdrowiu i bywa w kwaśnym nastroju. Choć kiedy ostatnio przyjechał tutaj bez żony, był w dobrym humorze. Doskonale się bawił i boję się, że nie do końca był jej wierny.

Rzadki ptak, szczęście...

Martin pod wpływem tych myśli znowu zaczął pisać. Pisał wolno, na wpół dla zabawy, zdanie tu, zdanie tam, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

Nie znasz mnie. Spotkałem Cię pewnego dnia w promieniach słońca. Od tamtej chwili minęły tygodnie, miesiące. Szłaś tą stroną ulicy, którą oświetlało słońce, szłaś sama z opuszczoną głową, uśmiechając się do siebie.

Był to jeden z tych dni, kiedy śnieg zaczął topnieć i chodnik błyszczał wilgocią. Zatrzymałaś się na skrzyżowaniu, żeby pozdrowić starą kobietę, rozmawiałaś z nią. Starucha była bardzo brzydka i bardzo głupia i myślałem też, że trochę złośliwa, jak to z głupimi ludźmi bywa. Lecz kiedy na nią patrzyłaś i z nią rozmawiałaś, zaraz stała się mniej złośliwa

i brzydka.

Nieco dalej na ulicy pozdrowił Cię jakiś pan, a Ty, odpowiadając na pozdrowienie, skłoniłaś głowę. Poczulem, jak gorycz zawiści wypełnia mi serce, i odprowadziłem go spojrzeniem. Ale nie było po nim widać, że właśnie Cię pozdrowił. Przypominał raczej porucznika, który przed chwilą zasalutował majorowi.

Odtąd często Cię spotykałem. Nie znasz mnie i raczej wątpliwe, byś kiedykolwiek się dowiedziała, kim jestem. Chodzisz w promieniach słońca, ja najczęściej w cieniu. Jestem ubrany tak samo jak wielu innych mężczyzn i unikam takiego patrzenia na Ciebie, byś to dostrzegła. Nie, nie masz możliwości dowiedzieć się, kim jestem.

Masz lampę z żółtym abażurem. Wczoraj po zapaleniu lampy długo stałaś w oknie w żółtej poświacie, patrząc na gwiazdy. Podeszłaś do okna, żeby opuścić roletę, ale na chwilę o niej zapomniałaś. Naprzeciwko Twojego okna świeciła gwiazda, jaśniejsza od pozostałych. Ja nie mogłem jej dostrzec, bo wcisnąłem się w niewielką czarną bramę po drugiej stronie ulicy, ale wiem, że w wiosenne wieczory wschodzi tak, że musisz ze swojego okna ją widzieć. To Wenus.

Nie znasz mnie, a ja znam Cię tylko tak, jak znam kobiety, które sprawiają mi tę wielką radość, że odwiedzają mnie nocami w moich snach. Stąd zwracam się do ciebie per „ty”. Lecz z tych kobiet od pewnego czasu Ty jesteś jedyną, tamte mnie porzuciły i bynajmniej za nimi nie tęsknię.

Przeczytaj ten list i zapomnij o nim; spal go lub ukryj na samym dnie Twojej klonowej szkatułki, jak wolisz. Przeczytaj i zapomnij, spaceruj jak wcześniej w promieniach słońca i uśmiechaj się do swoich szczęśliwych myśli. Lecz nie wolno Ci pokazać go przyjaciółkom, żeby się zaśmiewały i chichotały. Jeśli to zrobisz, przez trzy noce z rzędu nie będziesz mogła spać z powodu koszmarów, a mały diabeł z piekła przysiadzie na brzegu Twego łóżka, żeby patrzeć na Ciebie od wieczora do rana.

Wiem jednak, że tego nie zrobisz, nikomu go nie pokażesz. Dobrej nocy, moja kochana. Dobrej nocy!

Martin długo siedział z listem w ręce. Co z tego wyniknie, jeśli go wyślę? – zastanawiał się. Pewnie nic. Poruszy nieco jej wyobraźnię, młoda, dziewczęca tęsknota zostanie może lekko pchnięta w stronę nowego i nieznanego. Raczej pokaże list przyjaciółkom, bo mało kto wierzy dziś w diabła, ale go nie spali. Może się z niego ponaśmiewa, a nawet uzna za stosowne poczuć się obrażoną. Lecz tak naprawdę ucieszy się, a jeśli zgodnie z porządkiem rzeczy wyjdzie kiedyś za mąż, urodzi dzieci i będzie starzała się przez domowe kłopoty, z każdym rokiem grzęznąc coraz głębiej w beznadziejnej monotonii rzeczywistości, wtedy przypomni sobie ten list i będzie zastanawiała się, kto go napisał i czy nie w nim leżało ukryte ziarno prawdziwego szczęścia. I zapomni całkowicie, że kiedyś ją zagniewał. Bo w gruncie

rzeczy nie zawiera nic, co mogłoby ją obrazić. Pokazuje tylko, że pożąda jej jakiś mężczyzna, a skoro ma dwadzieścia lat i od stóp do głów jest prawdziwą piękną, cudownym tworem natury, musiała już wcześniej spostrzec, że mężczyźni jej pożąдают. I bynajmniej nie złości się z tego powodu, przeciwnie: cieszy się i jest bardzo szczęśliwa, i dlatego uśmiecha się w promieniach słońca.

Pogrążony w tych myślach siedział jednak długo, ważąc list w rękę, jakby to był ludzki los, aż w końcu uznał swoje rozterki za śmieszne, włożył list do koperty z grubego, nieprzezroczystego papieru i zaadresował drobnym, dziewczęcym charakterem pisma, żeby nie wzbudzić podejrzliwości jej krewnych. Udało mu się dowiedzieć, bez ujawniania nadmiernego zainteresowania, jak się nazywa. Harriet Skotte. Jej ojciec miał majątek nad Melarem. Teraz w zimie mieszkała u rodziny w Sztokholmie, miała się uczyć francuskiego, artystycznego tkactwa albo czegoś w tym rodzaju... Żeby się zaręczyć, krótko mówiąc...

Harriet Skotte. Powtarzał te dwa słowa, chcąc uzmysłowić sobie, jakie wrażenie wywołują. Skupił się zwłaszcza na imieniu, mamrocząc: Harriet, Harriet. Ale nic mu nie mówiło o jej osobowości, budziło jedynie nieokreślone wyobrażenie czegoś, co angielskie, blade, jasne; impresje: zapach herbaty, dobroczynność, wychłodzone sypialnie z pokostowanymi jak w szpitalu podłogami. Nazwisko z kolei przywodziło na myśl jedynie rodzinę, stryja będącego radcą Izby Handlowej i kuzyna, porucznika wojsk kwatermistrzowskich. Lecz gdy

szeptał sobie nazwisko z imieniem: Harriet Skotte – wtedy pojawiał się nowy element, który całkiem wypierał pozostałe, coś zupełnie innego i nowego, wtedy miał wrażenie, jakby ona sama przechodziła przez pokój, jakby jej kasztanowe włosy lśniły w promieniach słońca...

Wzdrygnął się na dźwięk dzwonka, usłyszał, jak pokojówka poszła otworzyć i znajomy głos pytający, czy Martin jest w domu. Schował list do kieszeni, w następnej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Henrik Rissler, mrużąc oczy w miedzianoczerwonych promieniach słońca, które stało na wysokości pokoju.

XII

Henrik Rissler przyjechał z Uppsali. Uzyskał właśnie magisterium i za kilka tygodni wybierał się w podróż po Europie przed napisaniem pracy doktorskiej „O ironii w romantyzmie”. Nie miał majątku, ale jego stryj – członek zarządu Banku Narodowego, polityk i milioner – zaoferował się, że pokryje koszty podróży. Martinowi było to wiadomo z listów Henrika. Przed wyjazdem chciał wypocząć. Był przemęczony, gdyż dużo pracował, żeby jak najszybciej wyrwać się z Uppsali, ale znalazł czas na napisanie kilku krytycznych studiów; opublikował je, przez co zyskał pewną sławę wśród około dwudziestki osób, które się tym interesowały.

Martin oczekiwał go od kilku dni, mając przygotowane butelkę wina

i pełną papierośnicę.

Henrik osłonił dłonią oczy przed słońcem:

– Tu wszystko po staremu – stwierdził. – Tutaj czas stoi w miejscu.

– Niemal – przyznał Martin. – Zbudowali tylko komin fabryczny, tam naprzeciwko. Miałem całkiem sporą rozrywkę w tej samotni. Przez jakiś czas dotrzymywałem tempa murarzom, ale potem zostałem w tyle. Zacząłem pisać wiersz, kiedy oni zaczęli komin; komin jest już gotowy, a wiersz nie. Zresztą ładny jest, to znaczy komin. Zwłaszcza jego sylwetka o zmierzchu. Dym się wtedy nie wydobywa, zapomina się o praktycznej stronie; to nie komin, lecz wieża postawiona przez chaldejskiego księcia i kapłana, wznosząca się prosto ku niebu po zapadnięciu nocy i odmierzająca ruch gwiazd.

– Tak – powiedział Henrik – jak zapomnieć o praktycznej stronie, wtedy staje się piękny!

– Nie – odparł Martin – nie staje się piękny przez pominięcie tego, co użytkowe, lecz przez przypisanie mu cech czegoś innego, co od dawna ma swoje miejsce w poetyckiej tradycji. Tymczasem kominy fabryczne już same z siebie, bez poetyzowania, należą do najpiękniejszych współczesnych budowli. Obiecują mniej, niż są w stanie dotrzymać, nie są gotyckimi czy renesansowymi przebierańcami.

Henrik lekko się uśmiechnął.

– Lata osiemdziesiąte!

Henrik Rissler siedział na swoim starym miejscu w rogu kanapy, Martin na bujaku przy biurku. Pili wino, rozmawiając o Uppsali, książkach, kobietach i o nowym filozofie nazwiskiem Nietzsche. A gdy tak rozmawiali, promień słońca, w którym kurz tańczył jak czerwone skry, stawał się coraz węższy, padał bardziej ukośnie i nasycił czerwienią.

Martin przypatrywał się Henrikowi. Zauważył, że się zmienił; twarz miał szczuplejszą, rysy ostrzejsze, bardziej męskie. Dlaczego powiedział: „Tu wszystko po staremu. Tutaj czas stoi w miejscu”? Czyli dla niego czas nie stał w miejscu. Coś przeżył, ale co? Pewnie się zakochał, może nawet się zaręczy – ale z kim? Ze swoją kuzynką Anną Rissler? Lubiała go – nie, chyba nie. Może z Marią Randel albo Sigrid Tesch?

– To zastanawiające – odezwał się Henrik – czy zetknąłeś się z tym uczuciem? – jak żalosne jest szukanie dawnych nastrojów, kiedy się ich nie znajduje. Gdy czyta się drugi raz książkę, która zachwycała, albo słucha opery, w której kiedyś było wszystko i coś jeszcze – a potem jest pustka i człowiek zastanawia się, gdzie to się podziało.

– Tak – potwierdził Martin – dziwne i przygnębiające uczucie. Jakby człowiek miał obowiązek trzymania się minionego, jakby dopuszczał się zdrady... I nic nie można na to poradzić. A dlaczego to takie żalosne? Może dlatego, że w tej sprawie nie ma powoda ani konkretnie sformułowanych żądań, by stawić im czoło. Bo powodem nie jest ani

książka, ani muzyka, która już do nas nie przemawia, ani nastrój, który umknął – powód to nasze dawne „ja”, a ono jest martwe i pogrzebane, usunięte i zastąpione nowym, nie może wnosić żadnych roszczeń, a jednak jakieś wnosi – na tym polega sprzeczność, a nie ma nic bardziej żałostnego niż sprzeczność, jeśli nie jest komiczna.

Henrik pociągnął myśl:

– Tak, masz rację, walka toczy się między dawnym a nowym „ja” i dopóki to nowe jest silniejsze, radzi sobie z cieniami. To ciągła przemiana. Dawne odchodzi, nowe przychodzi – tak, dawne odchodzi i właściwie tylko tego można być pewnym, lecz jak długo ma się gwarancję, że w zamian przyjdzie nowe? A jeśli któregoś dnia się nie pojawi, jeśli nic pod słońcem nie zechce być nowe, a człowiek będzie tylko uboższy z każdym rokiem i z każdym mijającym dniem!

– Tak się czasami zdarza. I mamy przykłady, że człowiek sięga wtedy po to, co zużyte, wydobywa to, co najstarsze, najbardziej martwe i zwiędłe, i zaczyna je na nowo czcić, nie dostrzegając karykaturalności. Niemal najgorsze, co się może przytrafić. Już lepsza znana recepta: „biedny, ale dumny”.

Milczeli przez kilka chwil. Słońce zniknęło, ale zmierzch jeszcze nie zapadł. W pokoju było niemal jaśniej niż przed chwilą, tylko wszystko stało się nagle blade.

Henrik przerwał milczenie:

– Tak, smutne uczucie, kiedy wyrasta się z własnej osobowości

i dawnych nastrojów, ale cóż to szkodzi, dopóki się rośnie! Zresztą, czym jest smutek, jeśli nie nową przyjemnością, którą wynaleźli sobie bogacze, jak powiedział łobuz o szczoteczce do zębów. Poza tym smutek dotyczy tylko nastrojów, muzyki, idei. Tak naprawdę cały czas myślę o czymś innym. Myślę o kobietach i miłości. Jeśli wkroczy się na ten obszar, przestaje to być tylko smutne, nie, nie ujdzie tak tanim kosztem. Jest się zakochanym w kobiecie. Człowiek chce, by cała nieskończoność znalazła się w tym uczuciu. A jednak nie da się uniknąć refleksji, która mówi, że owo uczucie musi podlegać temu samemu prawu zmienności, co wszystko inne na świecie, i że pewnego dnia ukochana nas znuży, podobnie jak księżycowa muzyka w „Fauście”. Nie miałem wielu romansów, ale wierz mi, nigdy, nawet w wyobraźni, nie zaczynałem tej gry inaczej niż z cichą modlitwą: żeby to ona pierwsza się znużyła, nie ja!

– Obawiam się, że ta modlitwa na ogół nie jest wysłuchiwana – powiedział Martin. – Owszem, i kochanek, i mąż bywają zdradzani, ale rzadko wtedy, gdy tego oczekują.

– Mimo wszystko wstydzę się tej modlitwy, gdyż wiem, że bierze się z tchórzostwa mojego serca. Jakże daleko odeszło się od pierwotnego i prostego pojmowania tych rzeczy, że szczęśliwszym się jest zdradzonym, niż zdradzając! A jednak tak to odbieram. Co właściwie znaczy dla mnie miłość, co w ogóle znaczy miłość dla mężczyzny! Jak może być coś tragicznego w tym, że mężczyzna został zdradzony

w miłości? Jeśli stanowi to dla niego tragedię, jest śmieszny. Jeśli odkrywszy, że został rogaczem, przerwie lekturę dobrej książki, zasłużył sobie na to. Nie, kobiety... Z nimi jest inaczej.

Wzrok Henrika wbił się w pustkę.

– Porzucone kobiety – ciągnął – w nich jest coś szczególnego. Nie przechodzi się koło nich obojętnie. Owszem, jeśli krzyczą, awanturują się i robią sceny, wtedy jest dużo łatwiej, wtedy zakrawa to na burleskę, człowiek otrząsa się z tego i jest wolny. Wtedy zadaje sobie pytanie: jak kiedykolwiek mogłem kochać tę kobietę?

Łatwo sobie przekonuje, że nigdy jej nie kochał, i w ten sposób się rozgrzesza. Ale te drugie... najgorsza ze wszystkiego musi być świadomość, że ta, którą kocham, więdnie i blednie, odepchnięta, odsunięta w cień, gdy tymczasem ja żyję dalej... To paradoks, wiem, nigdy nie nastąpi; niemożliwe, by przy takim postępowaniu miało się takie odczucia. A jednak... Dzisiaj spotkałem starą kobietę, na tej ulicy, tuż przed twoją bramą. Starą, zasuszoną, trochę śmieszną. Była też dość biednie ubrana, *pauvre honteuse*. Często widuje się takie staruszki, nie było w niej nic szczególnego, nic, co odróżniałoby ją od wielu innych, poza tym, że nagle, kiedy się do niej zbliżyłem, wydała mi się niezwykle podobna do... No dobrze, mogę ci od razu powiedzieć. Jest pewna młoda dziewczyna, którą bardzo kocham. Tak bardzo, że się pobierzemy, zapewne niedługo. To do niej była podobna ta staruszka mimo różnicy wieku i wszelkich innych – zresztą podobieństwo było nieokreślone,

z tych, co widzimy przez sekundę, a w następnej znika i nie wiemy, na czym polegało. Lecz ta sekunda mi wystarczyła, przeszedł mnie ziąb, lodowaty dreszcz, jakbym zobaczył coś upiornego, a wrażenie potęgowała całkowita normalność wokół, słońce świeciło, ludzie przechodzili ulicą... Przedemną stała moja ukochana, mijała mnie zwiędła, odepchnięta, trochę śmieszna. Nawet myśl, że sam leżałbym martwy pod ziemią, nie byłaby w stanie mnie pocieszyć, jedyne, co mogło przynieść pewną ulgę, to świadomość, że moje życie było równie nędzne i przemijające jak jej. Długo siedzieli w milczeniu.

– Powiedz – zapytał w końcu Martin – kim jest twoja ukochana? Jeśli możesz powiedzcie. Znam ją?

– Tak – odpowiedział Henrik cicho – znasz ją, a tobie mogę powiedzieć. To Sigrid Tesch.

Sigrid Tesch. Martin ujrzał przed sobą młodą i wiotką kibić, gęste ciemne włosy, ładną twarzyczkę o regularnych rysach. Spotkał ją kilka razy, przelotnie. Wiedział, że spodobała się Henrikowi, a i w jego myślach pojawiała się kiedyś wieczorami z tym nikłym marzycielskim uśmiechem.

Czyli ona, Sigrid Tesch, miała zostać żoną Henrika...

– Tak – rzekł Henrik – jak to wytłumaczyć, że człowiek w ogóle ma odwagę zaangażować się w coś takiego jak miłość... a jednak!

– Tak – przyznał Martin – a jednak!

Uśmiechnęli się obydwoj.

Henrik wstał.

– Ciemno jest, ledwie widzimy kieliszki, wyjdiesz ze mną? Cu downie będzie dziś wieczorem na dworze. Aha, będziesz pisał – no nic, pewnie niedługo znowu się spotkamy, do zobaczenia!

XIII

Zapał zmierzch, niemal zmrok, a Martin nadal siedział na bujaku przy biurku, nie mogąc zdecydować się na zapalenie lampy. W butelce zostało jeszcze trochę wina, nalał go do kieliszka i wypił. Otworzył okno, żeby wypuścić dym, i przez stukot butów, który jak dźwięk setki tykających zegarów podnosił się z dołu, usłyszał, że brama otwiera się i zatrząskuje, i kroki oddalające się ulicą – kroki Henrika. Martin pomyślał o jego miłości, o tym, co o niej mówił, i uświadomił sobie, że jego własne zadurzenie rozwiało się, ledwo dotknąwszy tej odrobiny rzeczywistości, znikło jak mgła i sen. Harriet Skotte... Zadał sobie pytanie: jeśli przeczytam jutro w gazecie, że się zaręczyła lub wyszła za mąż, albo zmarła – czy będzie miało to dla mnie znaczenie? Nie, żadnej utraconej rzeczywistości czy choćby rozbitej w puch nadziei, tylko pewien nastrój, który prysnie, który szybko prysłby tak czy tak.

Wyjął z kieszeni napisany przez siebie list, otworzył i ponownie przeczytał. Spalę go, pomyślał. Właściwie dlaczego? Może go kiedyś wykorzystam w jakimś opowiadaniu.

Wrzucił list do szuflady biurka, do innych manuskryptów. I pograżył się znowu w marzeniach.

Nagle w drzwiach stanęła mama. Trzymała w ręku lampę, z którą pochyliła się, i spojrzała na niego.

– Siedzisz w ciemnościach – powiedziała. – Tata wyszedł. Mogę chwilę posiedzieć z tobą?

Martin skinął głową. Postawiła lampę na stole i poszła po koszyczek i przybory do szycia, potem usiadła nad robótką.

Długo siedziała pochyłona nad nią w milczeniu. W końcu podniosła wzrok, oczy rozszerzone od płaczu i bezsenności:

– Powiedz, Martin, tylko się nie gniewaj, ale kiedyś, gdy cię nie było, nie mogłam się powstrzymać, wyciągnęłam szufladę twoje go biurka i zajrzałam do twoich papierów. Inaczej nigdy bym się nie dowiedziała, o czym rozmyślasz. To, co znalazłam, tak mnie przestraszyło, że musiałam sobie popłakać. Nie rozumiałam tego, nawet nie wiem, czy to miały być wiersze, czy coś innego, ale dla mnie były to tylko straszne bluźnierstwa. Tak się przeraziłam, przez chwilę myślałam nawet, że straciłeś rozum. Wiem, że nic z tego nie rozumiem, ale tyle przecież widzę, że takim pisaniem nic nie osiągniesz. A przecież potrafisz pisać tak ładnie, kiedy chcesz!

Martin milczał. Co miał odpowiedzieć? Domyślał się albo przynajmniej wierzył, że tak naprawdę mama chciała powiedzieć coś

zupełnie innego, że obawa, iż nic w świecie nie osiągnie, była takim kołem ratunkowym, za które chwyciła, gdy zawiodły ją myśli i słowa. Pewnie czuła i domyślała się, że wiersz, który znalazła w szufladzie, należało rozumieć zupełnie inaczej, niż mówiła, ale chciała, żeby się wytłumaczył, żeby rozmawiał z nią o swoich przemyśleniach, dobijała się do drzwi: wpuść mnie, nie każ mi stać na dworze, zimno mi, jestem taka samotna! A jednak nie otwierał, nie umiał, nigdy tych drzwi nie zamknął, same się zatrzasnęły. Co miał odpowiedzieć? Jej słowa mocno go przygnębiły. Jeśli miał jakąś pisarską ambicję, to taką, żeby każdy przy odrobinie dobrej woli mógł go zrozumieć. Nie upodobał sobie literatury dla wtajemniczonych, nie wierzył w pisanie dla wybranych, nie uszło zresztą jego uwagi, że nader często nikt nie chciał być wybranym. Teraz nagle uświadomił sobie, do jak nierealnego ideału dążył, sztuka dla wszystkich nie istniała, podobnie jak myśli dla wszystkich, przeciwnie, najprostsze idee wyrażone najprzystępniejszym językiem rzadko były zrozumiałe dla kogoś spoza kręgu już wcześniej myślących w podobny sposób. Jak miał z nią rozmawiać o swoich przemyśleniach, skoro jej zasób słów, ukształtowany przez lata monotonii, nie wystarczał nawet do wyrażenia tego, co sama czuła i myślała? Bóg z jego wiersza to był przecież bóg Spinozy, Dusza Świata, będący tylko eksperymentem myślowym, podczas gdy jej bóg, bóg jego matki, był przynajmniej wytworem wyobraźni i jako taki miał w sobie nieco więcej życia i krwi. Jak miał jej wytłumaczyć, że to, co nazywała bluźnierstwami, nie

odnosiło się do jej boga? Odpowiedziałyby, że jest tylko jeden Bóg. Wiedział z góry, co powie, co odpowie, i dlatego milczał, wyglądając przez okno i słuchając odgłosów zmęczonych kroków na sobotniej ulicy i deszczu, który zaczął uderzać o parapet. A jego przyszłość, którą się niepokoiła, co miał na to powiedzieć? Istniała przecież tylko jedna odpowiedź: być szczęśliwym i sławnym. A tej odpowiedzi nie mógł udzielić. Jeśli pewnego dnia osiągnę sukces, rozważał w duchu, sukces, który by ją ucieszył, nie będzie jej już pewnie przy życiu. Tak zawsze jest. Dlaczego miałbym spodziewać się dla niej i dla siebie wyjątku? Co miał więc zrobić, objąć ją za szyję, pogłaskać, pocałować? Nie, wyszłoby nienaturalnie, nie lubił takiej obłudy, ona też nie; znał ją, nigdy by się tym nie zadowoliła. Zadała pytanie i oczekiwała od niego odpowiedzi. Nie mógł nic jej na to odpowiedzieć, więc milczał. Milczał, a milczenie wywoływało ból w piersi. Skoro nie mógł nic powiedzieć, poszukał wzrokiem jej oczu, tych oczu, które niegdyś uśmiechały się do niego tak jasno i niebiesko. Owszem, wciąż jeszcze zdarzało się, podczas obiadu czy przy wieczornej herbacie, że spoglądała na niego, kiwając głową i uśmiechając się, tak jak przedtem, jak mamy uśmiechają się do swoich małych dzieci, zanim te nauczą się mówić. Może miała odczucie, że czas zatoczył koło, że ten uśmiech był jedynym środkiem wyrazu, jakim władała, gdy chciała porozumieć się ze swoim dzieckiem. Teraz chciałby, żeby spojrzała nań właśnie tak, kiwając głową i uśmiechając się uśmiechem dalekim od tych wszystkich pozbawionych znaczenia

rzeczy, które ich rozdzieliły.

Lecz nie uśmiechnęła się, milczała z rękami skrzyżowanymi na kolanach, a oczy, zazwyczaj tak bliskie płaczu, teraz pozbawione łez, wpatrywały się w cienie, jakby pytały: „Czy wszystkie matki są tak nieszczęśliwe jak ja? Równie samotne? Porzucone przez swoje dzieci?”.

Płomień lampy zachwiał się w nocnym wietrze. Wstała, powiedziała dobranoc, wzięła lampę i wyszła.

XIV

Martin jeszcze długo siedział przy oknie.

„Tutaj czas stoi w miejscu, powiedział Henrik Rissler. Tak, miał rację. Tutaj czas stał w miejscu. Upływ czasu mierzy się zmianami, ja nie mam go czym mierzyć. Nie wiedziałbym nawet, że dzisiaj jest sobota, gdybym nie słyszał tego po krokach na ulicy”.

Przypomniała mu się stara opowieść. Był raz grzesznik, który zmarł wieczorem w swoim łóżku. Następnego ranka obudził się w piekle, przetarł oczy i wrzasnął: która godzina? Wtedy stanął przy nim diabeł, wyszczerzył zęby i pokazał mu zegar, zegar bez wskazówek. Czas się skończył, nastąpiła wieczność.

Wieczność; koniec pośpiechu...

Inni ludzie mają dzień i noc, dzień świąteczny i powszedni, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Dla mnie wszystko zlewa się w jedno. Czy

zamieszkałem już w wieczności?

I rozmyślał dalej: „Jutro jest niedziela. Co to dla mnie oznacza? Oznacza, że nie idę do swej pozornej pracy, a tym samym mocniej będę odczuwał nacisk tej, która ma być moją prawdziwą. Ale jeśli będzie ładna pogoda, oczywiście wyjdę na długą przechadzkę... W każdym razie, czymkolwiek bym się zajął, nie będę miał prawdziwej niedzieli. Co za bezsensowną pracę sobie wziąłem, czy nie lepiej zrezygnować, póki jeszcze czas, nie poddać się regułom, które obowiązują innych. Nigdy nie dojdę z tym do ładu, nigdy wypoczynku ani spokoju. Wolne poniedziałki, ale nigdy więcej prawdziwych niedziel!

Moja pozorna i prawdziwa praca – jak długo zdołam podtrzymać tę iluzję? Fakty są takie, że jestem na dobrej drodze, żeby zatrudniono mnie na stałe, za osiem, dziesięć lat dostanę mianowanie, a za czterdzieści przejdę na emeryturę. Biedna mama oszczędziłaby sobie wielu zmartwień, gdyby widziała to wszystko tak wyraźnie jak ja. Ale w niewinności serca jest przekonana, że to, co nocami piszę na skrawkach papieru, przeszkodzi mi w karierze, ona nie ma pojęcia o bezgranicznej obojętności ludzi dla idei. Żeby zaszkodzić swojej karierze, musiałbym wypisywać obelgi na przełożonych, a dlaczego miałbym to robić? Są przecież przyzwoitymi ludźmi, przyznają mi wynagrodzenia i premie, nawet jeśli inni bardziej na nie zasługują. Wyraźnie mnie polubili. Wyczuli, i chyba mają rację, że nie należę do tych, którzy podkładają torpedę pod arkę”.

Czuł, że ginie w tłumie. Nie umiał rozstrzygnąć, czy w gruncie rzeczy był taki sam jak inni i ten los sprawiedliwie przypadał mu w udziale, czy może był zbyt wyjątkowy, by wyróżnić się nawet wśród wyjątków – miał jedynie poczucie, że rygiel z każdym dniem silniej go więzi, że ginie w tłumie. A jego pisanie, czym było i do czego prowadziło? Raz, gdy potrzebował pieniędzy, zebrał plik swoich wierszy i przeszedł się wśród wydawców. Kilku chciało je opublikować, ale nic nie płacąc. „Nie, odpowiadał bardzo poważnie, nie liczcie na moje pragnienie sławy!”. Kiedy wrócił do domu, ponownie przejrzał wiersze i znowu, jak wiele razy wcześniej, uznał, że są obojętne i puste. Większość pisał z myślą o natychmiastowym sprzedaniu gazecie, co było po nich widać. Mówił więc sobie: jakże dwuznaczne jest zajmowanie się ideami przez kogoś, kto nie ma zapewnionego utrzymania! Równie zręcznie jak ksiądz w mowie pogrzebowej podnosi pracę zarobkową zmarłego do jego życiowego zadania, tak rzeczywistość bezlitośnie, w okamgnieniu, zamienia życiowe zadanie w pracę zarobkową temu, kto nie jest rentierem. I żeby chociaż ta praca rzeczywiście dawała zarobek, ale nie, nie daje, pojawiają się tylko niesmak i niechęć, człowiek jest znużony i z powrotem ginie w tłumie.

W tłumie; postępować jak inni, wtedy przynajmniej nie jest wymagane żadne prestidigitatorstwo, odzyskuje się właściwą rachubę czasu, mając wówczas święta i dni powszednie, pracę i wypoczynek; prawdziwy wypoczynek...

Nocne powietrze napływało zimnym strumieniem przez okno, marzył, ale jakoś nie mógł wyciągnąć ręki, by je zamknąć. Deszcz nadal kropił, a myśli Martina, jak często, gdy był bardzo zmęczony, nabrały rytmu i rymu:

W ciemnościach siadam samotnie

I słucham deszczu, jak kapie.

Słyszę Maszczące krople

O metalowy parapet.

A w piersi niepokój rośnie

I oddech się płytki urywa,

To młodość ma, to młodości

Wraz z każdą kroplą ubywa.

Zimowa Noc

I

Nad stołem Martina w urzędzie kołysała się na jedwabnej lince elektryczna lampa z zielonym abażurem, wolno, tam i z powrotem, jak wahadło. Wprawił ją przed chwilą w ruch, zapalając. Nie wyciągnął ręki, żeby ją zatrzymać, lecz odczekał spokojnie tę chwilę, aż kołysanie zwolniło i zamarło, stając się niedostrzegalne. Również nad pozostałymi stołami zapalały się lampy, sześć świecących zielonych trójkątów kołysało się lekko w półmroku pokoju, a przy oknach chude urzędnicze dłonie sięgały po sznurki, żeby opuścić rolety i odciąć się od śniegu i zimowego mroku. Martin lubił te zielone lampy, nienagrzewające się i niesmrodliwe, których światło miało czysty, zimny blask kamieni szlachetnych, i marzył o dniu, gdy elektryczność będzie tak tania, że trafi do domu najbiedniejszych. A właśnie tutaj, w tym dużym, niskim pomieszczeniu ze ścianami pobielonymi wapnem, właśnie dlatego, że dom był stary, miał bramę ze sklepieniem krzyżowym, a w antresoli, gdzie znajdowało się biuro, małe, wąskie okna – te zielone lampy, jego zdaniem, jeszcze lepiej wkomponowały się w nastrój; widział w tym symbol ciągłości rozwoju, nieprzerwany łańcuch rąk i woli, od tych,

którzy dawno stracili siły, po tych, którzy nadal znajdowali się w zarodku, nowe wplecione w stare... Lecz tam, gdzie wszystko jest stare, pojawia się zaduch nędzy i rozpadu, a tam, gdzie wszystko nowe, dobrze czuje się tylko ten, kto sam jest nowoczesny, od stóp do głów, od portfela po duszę.

Martin nie był nowoczesny, nie miał nowego ubrania, myśli też nie, większości tego, co myślał i wiedział, nauczyli go starsi panowie z Anglii i Francji, z których wielu już nie żyło. Jeśli te myśli nadal sprawiały mu radość, to głównie dlatego, że wydawały się dawno zapomniane w czasie, jakby zapisano je na płynącej wodzie. Teraz wiały inne wiatry, wiatry, przed którymi najchętniej naciągał kołnierz na uszy, przynosiły stare upiory, ale nie chciał ich widzieć. Rozkołysana lampa nad stołem zatrzymała się, więc wrócił do rachunków. Nie zadowalał się już stawianiem paraf; sumiennie sprawdzał każdą pozycję i podliczał każdą kolumnę. Pierwotną młodzieńczą niechęć do mechanicznej pracy dawno przewyciężył, a z czasem spostrzegł, że rachunki wcale nie były – jak mu się z początku wydawało – wolne od niedoskonałości, właściwej wszystkiemu, co ludzkie. Przeciwnie, często zdarzały się w nich nieprawidłowości i błędy; a gdy odkrył taki błąd, cieszył się w głębi serca, ale zarazem czuł odległy powiew smutku. Cieszył się, bo miał okazję pokazać swą wielką skrupulatność i mógł liczyć na należny procent od kwot, które jego czujność uratowała dla państwowej kasy, a niejasne wspomnienie starego smutku pojawiała się, gdy przypominał

sobie, że kiedyś oczekiwał od życia zupełnie innych radości. Niekiedy myślał też o biednym urzędniku gdzieś w Landskronie, Ahus czy Haparandzie, który źle policzył, może wskutek kilku kieliszków z poprzedniego dnia, i teraz będzie musiał zapłacić. Ale ta myśl nie poruszała go, nauczył się bowiem przez lata, że trzeba kłaść granice swemu współczuciu.

W pokoju było gorąco, w kaflowym piecu żarzyły się jeszcze resztki brzozowych bierwion, bo nikt nie widział potrzeby oszczędzania królewskiego drewna w czasach, gdy w domu trzeba było się ograniczać; kancelista von Heringslake, mający cztery tysiące sześćset z odsetek i sprawujący swój urząd z ową lekkością, jaką daje niezależność, przykucnął przed paleniskiem i piekł w żarze jabłka. Na łysej czaszce, która zdaniem jego śmiertelnego wroga, rewizora Camina, była wynikiem rozpusty za młodu, gdy w rzeczywistości lśniła pierwszą niewinnością dzieciństwa, migotał trójkątny odblask zielonej lampy. Rozeszła się woń pieczonych jabłek, uderzając Martina w nos; trafiło go, że nie zawsze miał takie same poglądy na to i przyszłe życie, jak Heringslake, gdyż wtedy z pewnością zostałby poczęstowany jabłkiem. Z miejsca rewizora Camina dobiegała po raz setny stara śpiewka: w tym kraju nie będzie dobrze, póki nie będą płacić za odstrzał chłopów. A przy najniżej położonym stole, przy drzwiach, w przeciągu i wilgoci od parasoli i płaszczy, najmłodsza generacja gorliwie stawiała parafy, szeptem wspominając orgie minionej nocy i ilość wypitego ponczu.

Martin wciąż był jeszcze młody, bo w państwowej służbie człowiek starzeje się wolno, ale nie należał już do najmłodszych i nie musiał siedzieć w przeciągu przy drzwiach. Był za pan brat z większością swoich bezpośrednich przełożonych i starszych kolegów, a jednocześnie nie zaniebyszał obowiązku, by ze swej strony proponować przejście na „ty” młodszym od siebie. Następowoło to zazwyczaj na wspólnej grudniowej kolacji. Miała odbyć się właśnie na dniach i po biurze krążyła lista, ale Martin się nie wpisał. Pieniądze przeznaczył na coś innego, a wśród nowo przyjętych był tylko jeden, z którym chciał przejść na „ty”, młody człowiek zajmujący miejsce naprzeciwko niego przy tym samym stole; było w nim coś, co wydawało się Martinowi znajome i budziło instynktowną sympatię, pusty, marzący wzrok i mechaniczny gest, jakim stawiał parafy. Martin często z nim rozmawiał o losach świata i cieszył się, słysząc rozsądne odpowiedzi. Gdy podał mu teraz listę, samemu się nie wpisując, tamten podniósł wzrok i zapytał tonem, w którym był może cień zawodu:

– Pan nie przyjdzie na kolację?

– Nie – odpowiedział Martin – coś mi wypadło. Lecz skoro nie jesteśmy niewolnikami reguł, tak czy tak możemy sobie mówić po imieniu.

Tamten lekko się zaczerwienił, podali sobie ręce nad stołem.

– Powiedz – odezwał się tamten po chwili – dlaczego rewizor Camin chce, żeby płacono za odstrzał chłopów?

– Nie sędzę, iżby rzeczywiście chciał, wie chyba doskonale, że podrożyłoby to żywność bardziej niż cła. Powtarza tylko powiedzenie zasłyszane w młodości, gdy był stażystą. Spodobało mu się, bo daje wyraz zbiorowej niechęci, nienawiści klasowej, a szarzy ludzie odczuwają potrzebę zbiorowej nienawiści i miłości. Zwracaj na to uwagę, to jedna z najpewniejszych oznak braku refleksji. Lubi kobiety, urzędników, aktorów i Vastergötlandczyków, bo sam stamtąd jest, a nienawidzi chłopów, Żydów, Norwegów i dziennikarzy. Fakt, że chłopci nieco skąpo wynagradzają pracę, jaką on i my świadczymy w tym biurze naszemu krajowi, i przede wszystkim dlatego ich nienawidzi. Tymczasem kierują się oni tą samą zasadą, co wszyscy inni pracodawcy: płacić tak mało, jak konkurencja pozwala. Jeśli zabraknie urzędników, będą płacić więcej.

Kancelista von Heringslake, który zjadł swoje pieczone jabłka i zajął z powrotem miejsce przy stole obok Martina, obrócił się na krześle i spojrzał na niego z wyrzutem.

– Ty w ogóle nie masz serca – powiedział.

Minęła trzecia, tu i ówdzie składano papiery i opuszczano biuro. Martin wstał, sięgnął po płaszcz i kapelusz, zgasił zieloną lampę i wyszedł. Na kapeluszu miał krepę, żałobę po mamie.

II

Obrał drogę przez Vasterlanggatan. W śnieżne dni jak ten niemal zawsze szedł ową ulicą, wąskim, krętym przesmykiem między wysokimi starymi domami, gdzie człowiek częściowo był jakby w pomieszczeniu, osłonięty przed najgorszymi smagnięciami wiatru.

„Zima, mróz... Zadziwiające, że są ludzie, którzy twierdzą, że lubią taką pogodę. Heringslake, człowiek wielkiego serca i kochający swój kraj, woli mróz od upału. Ale kiedy jest zimno, chodzi w futrze. Wyobrażenie piekła jako bardzo gorącego miejsca zdradza wyraźnie pochodzenie z upalnej strefy. Gdyby wymyślili je mieszkańcy Północy, byłoby wietrzną dziurą, siedliskiem grypy i chronicznego kataru. Lecz skoro już mamy taki klimat, przywykłem do niego, może zresztą wyświadczył mi dobrodziejstwa, o których nie wiem. Żywność kładzie się przecież na lodzie, żeby się nie zepsuła, wszystko trzyma się dłużej w zimnie, dlaczego nie miałyby to dotyczyć również ludzi. Marzyłem swego czasu, żeby spłonąć w ogniu namiętności. Nigdy nie przyszła, nie byłem wart takiego wyróżnienia czy co też innego mogło być przyczyną. Obecnie podejrzewam, że taki pożar to raczej fajerwerki dla postronnych niż przyjemność dla zainteresowanego. Ogień w każdym razie nie jest moim żywiołem. Jeśli kiedyś w moim życiu pojawi się prawdziwe słońce, sczeznę, nieprzyzwyczajony do klimatu”.

Zatrzymał się na chwilę przed wystawą jubilera. Większość biżuterii

cechowało pewne prostactwo smaku, przez co nie żałował, że nie mógł jej kupić. Jednak raz, dokładnie przed rokiem, kupił mały pierścionek z zielonym szmaragdem. A ta, dla której był przeznaczony, nosiła go do dziś i nie chciała innego. Mówiła nawet, że nie zamieniłaby tego pierścionka na złotą obrączkę. Cóż, tej nie mógł jej zaofiarować...

Jestem niesprawiedliwy, powiedział do siebie, w końcu w moim życiu pojawiło się trochę słońca, może więcej niż dane było innym. Ale zbyt długo marzyłem, pewnie nie zdążyłem jeszcze odtajać.

Wyszedł na Mynttorget, północna zawieja zasypała mu śniegiem oczy i niemal oślepiony dotarł przez plac do mostu Norrbro. Musiał znowu się zatrzymać, żeby złapać oddech, przy księgarni Looströma, gdzie w oknie wystawione były sławy dnia, Crispi, król Milan i Taine, a między jakimś prominentem i fałszerzem dostrzegł chyba znajomą twarz. Był to szwedzki poeta, dekadent, który kiedyś w Anglais wyłożył mu swój światopogląd przy zielonym *chartreuse*. Znalazł się tam nie dlatego, że nagle stał się osobistością, lecz dlatego, że umarł.

Martin ruszył w stronę domu.

Wreszcie ktoś, kto osiągnął swój cel, rozmyślał. Trochę niezwykły, nie do końca też tak to sobie wyobrażał, nie dostał *paralysie generale*, o której marzył, umarł skromnie i bezpretensjonalnie na suchoty. Nie sądzę jednak, by ten szczegół był dla niego istotny, tak naprawdę chciał odejść z tego świata, obojętnie w jaki sposób.

Niewykluczone, iż miał naprawdę rację, taki cel trzeba sobie stawiać,

jeśli jakiś chce się w życiu osiągnąć. Pewnie, że można również postanowić, że zostanie się milionerem, biskupem albo ministrem, i zazwyczaj da się to osiągnąć, jeśli poważnie się o tym myśli. Tych, którzy potrafią wystarczająco intensywnie skoncentrować się na jednym celu, jest tak mało, że konkurencja nie należy do najgroźniejszych. Wszyscy chcą być bogaci, zarazem jednak prawie wszyscy chcą żyć tak, jakby już byli bogaci – przyjemnie spędzać czas, pospać po obiedzie, pić szampana z dziewczętami – i nigdy nie dorabiają się majątku, nie zostają nawet ministrami czy biskupami. Ten, kto lubi zatrzymać się tu i ówdzie w drodze, użyć trochę życia, zanim dojdzie do celu, ten nigdy go nie osiągnie – a inni, ta garstka niestrudzonych wędrowców, ludzie silnej woli, którzy dochodzą, cóż mają, gdy znaleźli się u celu? Z drugiej strony zbyteczne chyba jest poświęcanie większej energii na to, by odejść z tego świata. Ten cel, który z pewnością można osiągnąć niższym kosztem, zbliża się tak czy owak, powoli i niezawodnie. Kto wie, czy nie najlepszą rzeczą jest to, co drugi zmarły z witryny księgarni kochał najbardziej: rozłożyste drzewo i spokojne myśli. Gdyż nie do końca prawdziwe są słowa *messer* Guidona Cavalcantiego, które wypowiedział, czując nadchodzącą śmierć, że myśli i czyny są równie daremne. Do pewnego stopnia jest to niewątpliwie prawda, mianowicie wszystko kończy się w tej samej czarnej otchłani – spojrzenie *messer* Guidona na śmierć ma swoją wartość. Lecz patrząc na to z innej perspektywy, widać wyraźnie, że ten, kto oddaje się myślom, jest w tym

nieobliczalnym świecie jednak trochę bardziej uprzywilejowany od człowieka czynu. Dla niego bowiem minuta ma wartość samą w sobie, niezależnie od niepewnych przyszłych celów. Jeśli ktoś chce zostać kawalerem Orderu Serafickiego lub papieżem i poświęca wszystko, rozkosze zarówno myśli, jak i kochania, żeby ten cel osiągnąć – przynajmniej ta pierwsza ofiara jest nieunikniona – a zadławi się ością, umierając, nim go osiągnie, jego życie jest niczym, zdaniem podrzędnym bez nadrzędnego. Życie tego, kto skupił się na myśli, może zostać ucięte w każdej chwili, a mimo to jest jak wąż z ludowych wierzeń: dalej się wije, ma swoją wartość również jako fragment, ba, ściśle rzecz biorąc, nigdy nie rościło sobie pretensji, by być czymś więcej niż fragmentem. Albowiem ten, kto skupia się na myśli, nie może stawiać przed sobą żadnego ludzkiego celu, a jeśli niekiedy to robi, cel jest nieistotny i obojętny, toteż nie ma znaczenia, czy zostanie osiągnięty, czy nie.

Martin dotarł na Ostermalm, był prawie w domu, odczuwał głód i myślał o obiedzie, ale zatrzymał się na rogu ulicy i spojrzał w okno na trzecim piętrze.

Tak, w oknie się świeciło, czyli była w domu, co zresztą wiedział już wcześniej, wiedział również, że oczekuje go po obiedzie. Wieczorem wybierali się do teatru, usiądą w łoży prosceniowej, za kratą, gdzie nikt ich nie będzie mógł zobaczyć.

Miał przyjaciółkę. Połączył ich przypadek. Przedpołudnia spędzała

w towarzystwie ubezpieczeniowym, gdzie zajmowała się liczeniem pieniędzy. Pracowała na swoje utrzymanie, miała wprawdzie starego ojca gdzieś na prowincji, emerytowanego nadleśniczego, który pisał do niej trzy razy do roku, ale była samodzielna i niezależna. Podobnie jak inne młode dziewczyny, długo marzyła o prawdziwym szczęściu i chroniła swój skarb, mając nadzieję, że wyjdzie za mąż. Podobali jej się – i zakochiwała się w takich – mężczyźni, którzy nawet tego nie spostrzegali. Te drobne płomyki gasły, skoro nikt ich nie podsycił – gdyby jakiś nie nazbyt śmieszny czy odpychający kawaler zechciał wyciągnąć do niej rękę, z łatwością uwierzyłaby, że go kocha. Widziała, że lata mijają, zimą chodziła na tańce, latem jeździła na rowerze, a wielu spojrzeniami i półsłówkami dawało jej do zrozumienia, iż chcieliby, żeby do nich należała, ale żaden nie chciał się z nią ożenić, bo nie miała posagu ani nie pochodziła z wpływowej rodziny. Oszczędnych i skromniejszych odstraszała dodatkowo swą elegancją, miała bowiem dobry gust i dwie zręczne i pracowite ręce i wiele nocy spędziła przy lampie, szyjąc z tanich końcówek materiałów i starych gałganków stroje, które dla niewprawnych oczu wyglądały na bardzo drogie, a u podejrzliwszych budziły nawet wątpliwości co do jej cnoty. Nie była dość ładna dla mężczyzn, których uczucia podyktowane są próżnością, a w jej charakterze brakło owej łagodności i naiwności przyciągającej tych, którzy chcą być panami we własnym domu lub po prostu zmęczonych kawalerskim stanem i rozglądających się za miłą, słodką,

posłuszną i niekosztującą zbyt dużo żoną. Zarówno jej natura, jak i okoliczności były takie, że nie miała wielkich szans, by być kochaną z innego powodu niż miłość, a powoli zaczęła podejrzewać, że to uczucie, o którym tyle mówiono i pisano, w rzeczywistości jest w pogardzie, odsunięte i niezwykle rzadkie. Myślała o tym wszystkim, czuła, jak minuty niczym piasek uciekają jej z rąk, i przewidywała, że lata, które ją czekają, będą jeszcze gorsze i marniejsze od tych, które minęły, że chroniony klejnot z każdym dniem traci na wartości. Najbardziej przerażało ją, jak szybko starzały się kobiety żyjące bez mężczyzn, jeżeli nie należały do tych szczęśliwych, które nie odczuwają pożądania ani tęsknoty. Lecz ona nie mogła się do nich zaliczać, nie, była prawdziwą kobietą i wiedziała, że nią jest. Pożądanie, które w czasach pierwszej młodości było zaledwie łagodnym, nieokreślonym pragnieniem, marzeniem o niezwykłym, nieznanym szczęściu, gorzało teraz niczym trucizna w jej krwi, a z pierwszych dziewczęcych fantazji, które nie śmiały posunąć się dalej niż do pocałunku w mroku w różanym ogrodzie, z biegiem lat powstała książka z obrazkami znacznie gorszymi niż te, które Ole Zmruż-Oczko pokazywał w bajce niegrzecznym dzieciom. Jej spojrzenie wypatrywało i pytało, próbowała podjąć decyzję. Niemal całkowicie porzuciła myśl o mężu, szukała kochanka, ale też długo szukała na próżno. Nie żeby brakło mężczyzn, którzy chcieliby poprowadzić ją do tańca, przeciwnie, chętnych było wielu, mogła wybierać. Rozglądała się w towarzystwie, flirtowała na prawo

i lewo. Mniej bała się o swą reputację niż wcześniej, udawała się na schadzki z mężczyznami, którzy adorowali ją na balu przez jeden wieczór. Lecz pozostawali dla niej obcy i za każdym razem, gdy miała się zdecydować, ogarniał ją wstyd, mroziły nagle strach i odraza. Bo za każdym razem, gdy nadchodziła ta chwila, wyczytywała z oczu mężczyzny bezbrzeżną grubiańskość jego serca: wyczytywała tak wyraźnie, jakby zapisano na białej kartce papieru, że to, co dla niej oznaczałoby zupełnie nowe życie, może upadek, może ratunek, dla niego było przelotną przygodą; wyczytywała, że to, czego miała się dopuścić, w jego oczach było właściwie występkiem, dla którego wykaże wyrozumiałość, dopóki będzie przysparzał mu przyjemności; wyczytywała, że nie tylko szybko zamierza ją porzucić, lecz również najpierw uspokoić swe sumienie, okazując jej pogardę. Widziała to wszystko i miała dosyć tej gry, zanim ją jeszcze zaczęła, i zadawała sobie pytanie, czy nie lepiej pójść drogą cnoty, która najwyraźniej była najwygodniejsza, i zestarzyć się, zwiędnąć bez pragnień i nadziei. Lecz gdy spotkała Martina, było inaczej, a gdy mu się oddała, nie doświadczyła strachu, bo widziała, że ją rozumie, że nie myśli jak inni, i czuła, że ją kocha. Przed nim nie odczuwała wstydu ani go nie udawała, bo w myślach zdążyła tyle nagrzeszyć, iż rzeczywistość wydała jej się niewinna i czysta. Nie była już młoda, zbliżała się do trzydziestki podobnie jak on. Jej cerę naznaczyły już pierwsze przymrozki, a zawiedzione nadzieje uczyniły gorzką w sercu i niewybredną w języku.

Lecz to gorzkie serce było gorąco i szybko, kiedy spoczywało przy jego piersi, a usta przez brzydkie słowa wcale nie były mniej słodkie do całowania.

III

Martin i ojciec jedli sami obiad, w tym samym kręgu żółtego światła, które spowijało senne zimowe wieczory jego dzieciństwa. Martin i ojciec rzadko mieli sobie coś do powiedzenia. Byli odmiennej opinii we wszystkich sprawach poza cłami na żywność. Ta niezgodność poglądów nie martwiła ich jednak, nie przypisywali jej większego znaczenia. Wiedzieli obaj, że następne pokolenie w rodzinie myśli inaczej, i uważali to za naturalne. Nie odczuwali też milczenia jako niezręcznego czy krępującego, było jedynie oczywistą informacją, że nie nastąpiło nic, co dawałoby powód do wymiany zdań. Kiedy rozmawiali, to najczęściej o awansach w urzędach i o nowych domach. Tata Martina interesował się bowiem swoim miastem. W niedziele wychodził często na długie spacery do odległych dzielnic i patrzył, jak nowe kwartały wyrastają z ziemi, rozmyślał, jak Sztokholm rozwinął się od czasów jego młodości; podobały mu się wszystkie nowe domy, zwłaszcza jeśli były wysokie i reprezentacyjne, z wieloma oknami i narożnymi wieżyczkami. A gdy Martin słyszał, jak tata mówi o tych brzydkich domach, że są ładne, myślał, jak niesprawiedliwe jest życie, które najlepszym

i najpożyteczniejszym członkom społeczeństwa tak nieuchronnie zamyka drogę do świata piękna. Droga ta prowadzi bowiem przez smutek, nie ma innej, i nie żartem grecki muzyk odpowiedział Aleksandrowi: niech bogowie nigdy nie uczynią cię tak nieszczęśliwym, panie, byś rozumiał muzykę lepiej ode mnie. Ojciec Martina miał zbyt wypełnioną kłopotami młodość, zbyt wiele pracy i obowiązków w wieku dojrzałym, żeby mieć pojęcie o melancholii, jaką życie karze tych, którzy więcej myślą o pięknie i brzydocie, o dobru i złu niż o powszednim chlebie.

Również tego dnia ojciec opowiadał co nieco przy kawie i cygarach, wspominał o obiedzie, na którym był poprzedniego dnia i wstydził się swojego Orderu Wazów; wziął bowiem ten duży oficjalny order, jedyny jaki miał, podczas gdy pozostali panowie nosili eleganckie miniaturki.

– W ten sposób – zakończył – wyglądałem na największego głupka w towarzystwie.

– Pozornie tak – odpowiedział Martin. – Ale w rzeczywistości właśnie te miniaturki dowodzą niezbicie, że ich głupota jest jeszcze większa, bo z powodu orderów poczynili wyższe wydatki niż niezbędnie konieczne.

– Też tak pomyślałem, ale mimo to się wstydziłem.

Rozmowa urwała się. Martinowi przypomniało się kilka zasłyszanych historii o orderach: o mężczyźnie, który dostał Order Wazów, bo posłał

kwiaty do Sofiahemmet w dniach, kiedy miała tam gościć królowa, i o drugim, odznaczonym Gwiazdą Polarną za to, że kupił dom. Nie opowiedział ich jednak, gdyż zastanowiwszy się głębiej, doszedł do wniosku, że te historie, dla niego bardzo zabawne, być może wcale nie wywołają podobnej reakcji u starego ojca, który na swój order zasłużył czterdziestoletnią, kiepsko opłacaną służbą publiczną i nie mógł nie przypisywać mu pewnej wagi, nawet jeśli żartobliwie o nim mówił.

Cisza zaległa wokół nich, ojciec palił cygaro i patrzył w ciemność czającą się za oknem, a Martin pogрузił się w zadumie. Myślał o historii rodziny, która podobnie jak inne powstała, powiększyła się, kwitła, i jak później więzy zaczęły się rwać, jeden po drugim, siostra wyszła za mąż, mama zmarła. Najlepszy czas, czas rozkwitu, to pewnie ten, kiedy dzieci już wyrosły, a starzy nie są jeszcze naprawdę starzy. Owszem, słyszał często stare kobiety mówiące, że najszczęśliwszy okres to, gdy dzieci są małe. Może dla matek rzeczywiście. Pamiętał jednak lata, kiedy siostra dorosła i miała wyjść za mąż. Wówczas w domu było radośnie z młodzieżą, przyjaciółmi, muzyką. Pianino, teraz nieme, zachowało potpourri operowe i walce minionych lat i często w bezsenne noce do uszu Martina docierały norweskie piosenki śpiewane w tamtych czasach: „Han tvser over Bamkene hang” i "Jeg beder dig ikke om Rosen paa dit Bryst". Pieśni, w których nadal żywa była część jego młodości, ale które teraz wypełniała melancholia minionego. Potem nagle zrobiło się cicho, ciszej z każdym rokiem, aż w końcu pewnego dnia ojciec siedział sam

z synem w pustym i rozbitym domu. Martin spoglądał na ojca, zadając sobie pytanie: ile dla niego mogę znaczyć? Bardzo niewiele, musiała brzmieć odpowiedź. Prawie nic. Ta, którą kochał od młodych lat, spoczywała w ziemi, pod zaśnieżonym szarym kamieniem, nie mogąc ogrzać jego starości. Ogień na palenisku wygasł. To Martin był tym, który powinien wzniecić nowy płomień. Wiedział, że gdy życie biegnie normalnym trybem, tego właśnie starzy mają prawo wymagać od młodych: kolejnych ogniw w łańcuchu, nowego domu i wnuków, żeby huśtać je na kolanach. Tak zaplanowała natura, która wszędzie dąży do tego, by śmierć ukryć pod nowym, młodym życiem, podobnie jak my chowamy zwłoki pod kwiatami; łatwiej wtedy zbliżyć się do kresu, droga prowadzi nieubłaganie w dół, ale idzie się nią wśród zabaw i gaworzenia, jak na początku wędrówki. Temu żądaniu, prostemu, a zarazem wielkiemu, nie potrafił sprostać. Owszem, umiał co nieco, chyba nie było takiego piękna na świecie, które byłoby mu obce, ani myśli czy niuansu myśli, za którymi nie zdołałby podążyć, znał się na państwowych rachunkach, rysował karykatury na marginesach, mógł wypić sporo whisky, nie tracąc przytomności umysłu, i może umiał jeszcze parę pomniejszych rzeczy. Lecz nie potrafił zbudować domu. Żadnej możliwości, żadnej myśli w tym kierunku. Rzemieślnik, robotnik potrafili, ale nie on. Nie wiedział, jak wyczarować te cztery tysiące rocznie, których uboga rodzina z klasy średniej potrzebuje na życie. A gdy kiedyś dorobi się takiej sumy, co z latami pewnie nastąpi, będzie

już wtedy stary, ojciec nie doczeka, a ta, którą kocha, co się z nią stanie?

Musiał przyznać, że ojciec takiego żądania, przynajmniej świadomie, mu nie stawiał. Przeciwnie, doskonale wiedział, że jest to niemożliwe. Nie miał nadziei na przedłużenie swego rodu, na starość w otoczeniu przyszłości, latorośli i obietnic. Lecz właśnie to, że nie miał nawet nadziei, przytłaczało go jak mroczny smutek, sprawiało, że jego zmierzch był jeszcze bardziej szary i pusty. A przecież trosk mu nie brakowało. Małżeństwo córki wniosło niewiele radości. Jej synek zmarł, ostatnio napisała, że chce odejść od męża.

Ogień wygasa na palenisku. Kto wznieci nowy płomień?

Tata poszedł się położyć po obiedzie.

Wybiła piąta, Martin ubrał się, żeby pójść do tej, która na niego czekała. Ubrał się elegancko, chociaż mieli być sami i nikomu się nie pokazywać. Obiecał jej, była to bowiem rocznica ich ślubu.

IV

Stała przy toalecie, na której przed lustrem paliły się dwie smukłe świece, właśnie ułożyła swe bujne, kasztanowe włosy, a zanim skończyła się ubierać, przesunęła pędzelkiem po twarzy, żeby pokryć pudrem największe wypieki. Martin siedział za nią w rogu kanapy, ale ich spojrzenia spotkały się w lustrze, zatrzymując w długim uśmiechu. Drżące płomienie świec i odległość, którą lustro powiększyło, uczyniły

ten uśmiech tajemniczym i mglistym. W ciemnej głębi za szkłem lustra tańczyła zielona iskierka od szmaragdu na jej palcu.

– Jesteś gotowa? – zapytał. – Dochodzi wpół do ósmej. Boję się, że przegapimy ducha.

Wybierali się na „Hamleta”.

Odwróciła się i przeciągnęła mu pędzelkiem po twarzy, tak że był biały jak Pierrot.

– Głupiutka Pierrette – powiedział, wycierając twarz z pudru jej chusteczką – nie widzisz, że i tak jestem blady.

Pochyliła się, przycisnęła jego głowę do piersi i pocałowała we włosy.

– Jestem taka szczęśliwa – szepnęła – bo mamy rocznicę ślubu i mogę pójść z tobą do teatru i usiąść w kąciku, gdzie nikt nas nie będzie widział.

Ostrożnie pogłaskał ją po rękę. Czuł skryte ukłucie w sercu, kiedy tak mówiła, ponieważ domyślał się i wiedział, że gdyby istniała jakakolwiek możliwość, daleko bardziej wolałaby usiąść z nim na miejscach, na których wszyscy by ich widzieli. Lecz nie przypuszczał, by teraz o tym myślała. W minionym roku ani razu nie napomknęła o małżeństwie, przecież aż nazbyt dobrze wiedziała, że to niemożliwe. Lecz Martin nie umiał pozbyć się uczucia skrywanego wstydu, że nie jest w jego mocy, by podarować jej szczęście, jakie daje szanowana i pewna pozycja, gdy nie trzeba niczego ukrywać przed światem. A wstydził się nie dlatego, że

gdzieś w kącie jego duszy zachowało się przekonanie o obowiązku, który trzeba wypełnić, czy o wykroczeniu, które trzeba naprawić, tylko bezgranicznie ją pokochał i pragnął uczynić życie jasnym dla jej oczu i równym dla jej nóg, które dotąd musiały iść tak kamienistymi ścieżkami, że nic dziwnego, że w końcu stąpały trochę krzywo.

Odrzucił te myśli, nie zamierzał przecież wyzywać niemożliwego, nie był silnym mężczyzną, który mógłby wziąć ją w ramiona i utorować im obojgu drogę. Wszak sama wybrała. Znała również silnych, takich, o których kobiety mówią: to jest prawdziwy mężczyzna, i gdyby zechciała, mogła obdarzyć miłością jednego z nich, nie odrzuciliby jej. Lecz najgłębszy instynkt odwiódł ją, wróżąc nieszczęścia i poniżenie. Gdyż, co znamienne, właśnie ci silni rzadko postępują tak, jak Martin chciałby postąpić, gdyby potrafił, są silni właśnie dlatego, że ich uczucia nigdy w przełomowych momentach nie stają na drodze korzyściom, że na ogół wiedzą, jak lepiej spożytkować swoją siłę. Nie, im obojgu, samotnym i zmarzniętym, nie pozostało nic innego, jak z wdzięcznością, bez domagania się rzeczy niemożliwych, ogrzać się szczęściem, które wpadło im w ręce, i błogosławić dzień, gdy po raz pierwszy zetknął ich głos krwi mówiący, że pasują do siebie i że mogą nawzajem przysporzyć sobie radości. Skrycie lubił powracać do nieśmiałego marzenia, że kiedyś, za wiele lat, da jej dom. Myśl, że do tej chwili ona się zestarzeje, nie przerażała go. Miał też wrażenie, że choćby czas uciekał, choćby przynosił jej zmarszczki wokół oczu i pierwsze siwe włosy, jej młode,

białe ciało nigdy nie będzie stare, pozostanie szczupłe i młode, i gorące jak teraz, i bez względu na mijające lata, bez względu na zimy zasypujące śniegiem jego młodość i kłujące lodowymi igiełkami duszę i myśl, jego serce zawsze będzie grzało się przy uderzeniach jej serca, a ich spotkania wskrzeszać będą iskrę świętego ognia ogrzewającego cały świat.

Myśląc o tym wszystkim, śledził oczyma każdy ruch jej białych, szczupłych ramion, znowu poszukał uśmiechem jej uśmiechu, skinęła mu głową z poblaskiem skrytego szczęścia na twarzy, jeszcze pod pudrem, a głęboko w mroku lustra dostrzegł własną twarz o rysach ostro ściągniętych w maskę przez światło świecy, kiwającą w odpowiedzi niczym chińska lalka.

– Nie musimy się śpieszyć – powiedziała. – I tak nie możemy wśliznąć się do naszej kryjóweczki przed upływem dobrego kawałka pierwszego aktu, inaczej moglibyśmy się natknąć w korytarzu na jakichś znajomych.

– Tak, masz rację – odpowiedział.

Sam zresztą o tym pomyślał.

– W naszej sytuacji musimy mieć głowę na karku – ciągnęła – to co innego niż siedzenie z nosem w książce. Mimo wszystko to niemal cud, jeśli pomyśleć, że przez cały rok udało się nam utrzymać nasz związek w tajemnicy i nikt nic nie wie! Wydaje mi się nawet, że ludzie mniej teraz na mój temat plotkują. Wszyscy są dla mnie tacy mili, kierownik

i kasjer, i dziewczyny w biurze. Może dlatego, że wyładniałam – prawda, że wyładniałam? Na pewno widzą po mnie, że jestem szczęśliwa, to nastraja ich przyjaźnie, są mili i serdeczni, choć nie wiedzą, co jest przyczyną. Gdyby wiedzieli...!

Martin nie lubił, kiedy mówiła o swoim szczęściu. Czym innym było wyczytywanie tego z jej oczu i twarzy, odnajdywanie go w jej pocałunkach, wtedy w nie wierzył, żadna lektura nie byłaby mu milsza. Lecz gdy o nim mówiła, gorycz i przygnębienie kładły mu się ciężko na piersi na myśl, jak niewiele w gruncie rzeczy miał jej do zaoferowania, jak ułomne i kalekie było to jej biedne szczęście; wiedział, że te krótkie minuty, które z nim spędza, nabierają tak gorących barw właśnie dlatego, że musiała okupić je strachem długich dni i nocy, strachem, że nagle straci to, czego zdobycie tyle ją kosztowało, że z dnia na dzień wszystko się skończy, złoto szczęścia okaże się zwiędłymi liśćmi, a ona będzie bardziej samotna i biedna niż kiedykolwiek wcześniej. Ten strach właściwie nigdy jej nie opuszczał, Martin zdawał sobie z tego sprawę. Któregoś razu, nie tak dawno temu, mieli się spotkać u niego w domu. Oczekiwał jej, zbliżała się umówiona godzina, rozległ się dzwonek i Martin poszedł otworzyć; lecz to nie była ona, tylko przyjaciel, który chciał wstąpić na pogawędkę. Martin nie mógł powiedzieć, że jest zajęty ani że spodziewa się wizyty – przyjaciel spotkałby ją na schodach i wszystkiego się domyślił – więc skłamał, że właśnie wychodzi w ważnej sprawie, narzucił płaszcz i kapelusz i wyszli razem. Kawalek

za bramą zobaczył, że ona nadchodzi ulicą, utkwiała w nim bezradne i przerażone spojrzenie; pozdrowił ją mimochodem, uprzejmie i trochę obco, tak jak musiał, żeby jej nie zdradzić.

Skreślił w boczną uliczkę, żeby pozbyć się przyjaciela i po kilku minutach wrócił opłotkami pod bramę. Czekala tam na niego w deszczu i błocie. Delikatnie ujął ją za rękę i poszli na górę. Po wejściu do mieszkania spostrzegł, że wstrząsa nią płacz.

Wyjaśnienia nie były potrzebne, zorientowała się w sytuacji, lecz jego krótkie i chłodne pozdrowienie, rzucone mimochodem w trakcie rozmowy z nieznanym jej mężczyzną, wystarczyło, by skrywany strach spłynął do krwi, potrzebowała powietrza, musiała się wyplakać i płakała długo i bezgłośnie w jego ramionach.

Tak, ich smutne szczęście wiele im podarowało, ale jasnego, sterylne oświetlenia słów nie znosiło, mówienie o nim nie wychodziło mu na dobre. Poczucia spokoju płynącego z życia, które można pokazać ludziom i uzyskać ich aprobatę, mimo całej swej miłości nie mógł jej zapewnić, miłość nie chroniła jej też przed wstydem i wyrzutami sumienia, jakie czasami w samotności odczuwała. Życie pokazało jej dwie różne twarze, między którymi nie dostrzegała podobieństwa, toteż miała nie jedno, lecz dwa sumienia. Pierwsze mówiło, że postępuje słusznie, że nadejdzie taki czas, gdy nikt nie będzie mógł zrozumieć, dlaczego kiedyś miłość mężczyzny i kobiety mieszano z błotem, nazywano grzechem i hańbą. Lecz to drugie nie mówiło nic o przyszłych

czasach, wyzierało z głębokiej przeszłości, przemawiało głosem zmarłej matki, głosami z domu w lesie, z dzieciństwa, kiedy jeszcze nic nie wiedziała o świecie ani o sobie, kiedy wszystko było takie proste, wystarczyło być grzecznym, żeby nie napytać sobie biedy. Wieczorami, gdy Martin wychodził od niej i zostawała sama w wynajętym pokoju wśród obcych, posępnych mebli, spośród których jedynie toaletka z empirowym lustrem i zielony stół z kamiennym blatem należały do niej i przypominały o rodzinnym domu – pojawiała się owo stare sumienie, szepcząc jej do ucha ohydne rzeczy, że zarówno kobiety, które wychodzą za odrażających mężczyzn, by mieć utrzymanie, jak i te biedne dziewczyny, które z nędzy sprzedają swoje ciało, są lepsze od niej; przynajmniej mają usprawiedliwienie. Nie pomagało, że myślała o swej wielkiej miłości i nią się broniła, stare sumienie miało już na to odpowiedź i szeptało, że to nie on wzniecił pożar w jej żyłach, ten pożar podsyciło jej pożądanie, zło tkwiło w niej, ona była zepsuta i powinna zostać wychłostana pod pręgierzem, jak dawniej postępowano z rozwiązłymi kobietami. I jeszcze gorsze rzeczy szeptało sumienie, że jej ukochany szybko się nią znudzi, ba, że już się znudził, że w głębi serca nią pogardza, bo zawsze była chętna do grzechu i niczego mu nie odmawiała.

Martin o tym wszystkim wiedział, bo dzieliła się z nim swoimi zmartwieniami. Takie podejście niezmiennie go dziwiło i zdumiewało: że to samo pożądanie, u mężczyzny tak naturalne i proste, stawiane na

równi z głodem czy pragnieniem, w przypadku kobiety miałyby stanowić coś wstydlwego i hańbiącego, co trzeba ukrywać i tłumić – podejście, w które nie umiał się wczuć, nawet jeśli potrafił ustalić jego źródło w pomrokach najdawniejszych czasów, kiedy to kobieta była własnością mężczyzny i na zmysłowość pozwalano jej, ba, mile ją widziano, jeśli stanowiła wyraz uległości wobec woli pana, lecz uznawano za przestępczą i bezecną, gdy wypływała z własnych potrzeb. I to myślenie nadal jest tak głęboko zakorzenione w męskim sercu, że zarówno w książkach, jak i w życiu rzadko można usłyszeć mężczyznę mówiącego o kobiecym pożądaniu inaczej niż z kpina i szyderstwem, jeśli nie jego dotyczy i nie jego pragnieniom odpowiada, a często i nawet wtedy nie. I to myślenie nadal tak głęboko tkwi w kobiecie, że obyczajne niewiasty nierzadko w skrytości ducha wstydzą się, że kochają swoich mężów i tęsknią do ich objęć, ba, Martin słyszał raz, jak dziewczyna lekkich obyczajów dzieliła swe koleżanki na porządne i lafiryndy, a przez porządne rozumiała te, które myślały wyłącznie o zapłacie. Ten podział był w rzeczywistości prawdziwszy i głębszy, niż przypuszczała; sięgał korzeniami tysiącletniej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, polityki kobiet, takiej, jaką od początku dyktowała konieczność, by nie obniżyć szczerze i rozrzutnie kursu tego towaru, który stanowił dla słabszej strony jedyne narzędzie nacisku i obronę przed zdeptaniem przez silniejszego. Gdyby ta biedna dziewczyna była trochę bardziej odczytana w Biblii, mogłaby dla uzasadnienia swego podziału powołać

się na proroka Ezechiela i jego płomienne potępienie lekkomyślnej Aholi, bo nie była jak inne nierządnice, „które trzeba kupować za pieniądze”.

Martin wszystko to rozumiał, życie było zbyt skąpe, żeby kobiety miały być hojne, i ich nie osądzał, nawet tych obyczajnych. Lecz kochał swoją szczodłą przyjaciółkę i pocieszał ją, jak umiał, w te dni, gdy sprzeczne wewnętrzne głosy przerażały ją i napełniały bojaźnią, przychodziło mu to bez trudu, bo kiedy u niej był, nie odczuwała strachu. Wiedział jednak też, że były dni, a nawet tygodnie, gdy zżerał ją niepokój, że mimo wszystko zajdzie w ciążę. Nie ukrywał przed sobą, że stanowiło to chory aspekt każdej potajemnej miłości. Widział wyraźnie, jak nierówna staje się gra, zbliżając się do tego punktu, że całe ryzyko i niebezpieczeństwo bierze na siebie kobieta, i znowu ogarniał go wstyd, że nie był w stanie dzielić z nią goryczy, tak jak dzielił słodycz. Dziecko było ryzykiem, które ponosiła przede wszystkim ona, a jeśli udawało się go uniknąć, to również w niej wzbierała pustka i tęsknota, że nie może sobie pozwolić na szczęście macierzyństwa; zakłuło go w sercu, kiedy raz o zmierzchu zobaczył, jak wzięła w objęcia na ulicy obce dziecko i pocałowała je. Lecz dla niej macierzyństwo oznaczałoby straszliwe potępienie, skoro świat był, jaki był.

Oboje nie byli jednak rozpieszczeni przez życie, nauczyli się, by nie żądać pełnego i doskonałego szczęścia, a miłość pomagała im przyjmować wszystko tak, jak musieli i powinni.

Skończyła się szykować, zgasiła świece przed lustrem i zaczęła kilka minut w ciemności, by wyszedł przed nią z domu, nie chcieli, żeby ktoś ich zobaczył razem na schodach. Na ulicy wazyli się iść koło siebie po zapadnięciu zmroku, zwłaszcza jeśli w powietrzu wisiała mgła, padał deszcz lub śnieg. Tego wieczoru śnieżyło tak biało i gęsto, że nikt nie mógł ich rozpoznać. Jak cienie pozbawione nazwisk i właściwości mijali ich ludzie, znikając w białej nocy. Oni przytuleni do siebie, sami bezimienni, szablonowi jak te połączone w pary sylwetki, które dzieci wycinają ze złożonego papieru, torowali sobie drogę przez śnieg, trzymała jego rękę przyciśniętą do piersi, oboje milczeli.

V

Na widowni było ciemno i Martin odsunął kratę. Nikt nie mógł ich zobaczyć, zresztą ze swojego miejsca w kącie Martin też nie mógł dostrzec, co się dzieje na scenie, słyszał jedynie wiersze i repliki rzucane w ciemność i widział, albo przynajmniej wydawało mu się, że widzi, ich oddziaływanie na rzędy bladych ludzkich masek na parterze – opadająca rabata pełna dużych, osobliwych kwiatów, bezbarwnych jak rośliny, które pozbawi się słońca, bynajmniej nie urodziwych, w powolnym ruchu jakby pod wpływem niesłyszalnego wiatru czy w potakiwaniu od czasu do czasu na swoich szypułkach.

Wydawało mu się, że wszystkich rozpoznaje; albo rzeczywiście tak

często spotykał ich na scenie ulic i publicznych lokali, na której, podobnie jak oni, sam był statystą, że ich rysy utrwały się w jego pamięci, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, albo też wynikało to ze skłonności ludzkich twarzy do grupowania się w niewielką liczbę typów, tak iż rzadko miewa się wrażenie, że napotkało się naprawdę nową.

Zresztą niektóre z tych twarzy rzeczywiście bardzo dobrze znał. Tam siedział przecież Henrik Rissler, jego przyjaciel jeszcze z czasów młodości. Obecnie rzadko się spotykali, a szkoda, bo Martin nie znał nikogo, kto lepiej rozumiałby się na przyjaźni, filozofii i cygarach. Teraz jednak Henrik był żonaty, już od wielu lat, i ciągle się przeprowadzał. Nie dotarł jeszcze do końca wiecznej odysei nowożeńców od jednego zawilgoconego mieszkania do drugiego, zawsze na obrzeżach miasta, z Vasastaden na Söder, z Söder na Kungsholmen. Martin miał jednak poczucie, że odnaleźliby się jeszcze raz, gdyby tylko życie zechciało podarować im trochę spokoju.

A tam, kawałek niżej, ta mała pobrużdżona twarz, przypominająca twarz dziecka, ale trochę i starca, czy to również nie był dawny kolega ze szkoły, czy to nie Josef Marin? Nie został pastorem, do czego miał dążyć, żeby zadośćuczynić woli starej, apodyktycznej matki. Nigdy na dobre nie utwierdził się w wierze. Z wiarą chyba często bywa jak z apetytem, że przychodzi w miarę jedzenia, tymczasem on właściwie nawet nie zaczął posiłku, może też gdzieś głęboko tkwiło w nim pragnienie szczerości, które na tej drodze mogłoby stanowić pewną

zawadę. Teraz recenzował *varietes* i pogrzeby dla dużej gazety. Pisał bez ogródek, co myślał, a usiłował myśleć tak, jak mu się wydawało, że myśli redaktor naczelny; a redaktor, zdolna bestia, myślał, co chciał, a starał się myśleć tak, jak – zgodnie z jego wyobrażeniami – myśleli ludzie wykształceni i zamożni. A ponieważ tej zasady w redakcji trzymano się niezłomnie, gazeta zyskała sympatię i szacunek, okrzepła, zdobyła renomę nieprzekupnej, uczciwej i bezstronnej.

– Właściwie równie dobrze mogłem zostać pastorem – powiedział pewnego dnia do Martina, trochę ze smutkiem, kiedy zamienili kilka słów na ulicy.

...A tam, pośrodku ostatnich rzędów, blada, szczupła kobieta, czy to nie do niej pałał uczuciem przez kilka wiosennych wieczorów wiele lat temu, czy to nie Harriet Skotte? Napisał do niej nawet list, którego nigdy nie wysłał. Tak, tamte dni... Życie chyba jej nie oszczędzało od owego czasu, nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Była teraz mężatką, mąż siedział obok. Otyły, bardzo dobrze ubrany, wyglądał na polakierowanego. Biedna dziewczyna, ze swym ślubnym nie ma najlepiej, widać to po nim...

Widział też inne twarze, kobiet, on znał je odrobinę, one jego nie, młode kobiety, które miło wspominał, bo swego czasu sprawiały, nie wiedząc o tym, że był trochę bogatszy i szczęśliwszy, gdy mijały go na ulicy niczym przepojone słońcem obłoki... Tam siedziała jedna, którą dobrze pamiętał, gdyż kiedyś zauważyła jego spojrzenie, zebrała

spódnice i popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był mordercą pokroju Kuby Rozpruwacza. Biedna kobietka, czas płynie, nie jest już najmłodsza, już wtedy swoją wiosnę miała za sobą, teraz pewnie nie zbiera takich spojrzeń, gdy idzie Sturegatan...

Zmęczyło go słuchanie replik a patrzenie na coś innego, te głębokie i zadziwiające stare słowa dochodzące ze sceny nic mu w tej chwili nie mówiły, z masek na parterze zaś wyczytywał, że od nich też odbijały się niesłyszane, że z tego, co działo się na scenie, docierała właściwie sama pantomima. Trwał już piąty akt, Martin odchylił się do tyłu w swoim kącie, pozwalając, by grabarze przerzucali się facecjami i czaszkami, które najbardziej ich bawiły, i poszukał wzroku przyjaciółki. Nie pochwycił go – widząc ze swego miejsca wszystko, nie odrywała oczu od sceny. Ponownie słowa zaczęły nabierać kolorów i życia w jego uszach, gdy dostrzegł napięcie w jej twarzy, we wzroku odzwierciedlała się cała scena na cmentarzu, której nie widział, ale którą doskonale znał. Patrzył na Hamleta stojącego w płaszczu nocy i zagadek, z czaszką Yoricka w ręku, patrzył na kondukt pogrzebowy, trumnę opuszczaną do grobu i królową wrzucającą doń kwiaty: niech wonne kwiaty otoczą ten kwiat! Patrzył na to niezwykle zajście w grobie, na obu zmagających się mężczyzn i słyszał głos Hamleta: kochałem Ofelię!

Czegóż on chce, czy chce wyrwać ją z grobu? Gdyby nie była martwa, gdyby powstała z trumny, zarumieniona i rozbudzona jak po

spokojnym śnie, czy wziąłby ją wtedy w ramiona, zabrał stamtąd i kochał do końca dni? Nie, nie to ma na myśli. Powiedział kiedyś, jeszcze za jej życia: kochałem dawniej waćpannę. Nie był z niego jednak zwykły bałamut, nie zapomniał jej dla innej damy dworu o szczuplejszej talii i obfitszej piersi, a mimo to powiedział: kochałem dawniej waćpannę. Mógł to zapewne powiedzieć o wielu rzeczach. Kochał też słońce i kwiaty, i drzewa. Kochał błękitne powietrze i wodę, i ogień, i tę dobrą ziemię. Kochał to wszystko, czterem żywiołom i samemu życiu mógł powiedzieć: dawniej was kochałem. Lecz później to się zmieniło, coś się zakradło, coś zdobyło nad nim władzę, nie pytając o pozwolenie, i odsunęło wszystko inne, słońce i kwiaty, kobiety i tę kobietę, bardzo daleko, tak że ledwie je widział, jedynie jak przez mgłę... Teraz, gdy zobaczył nadciągający kondukt i usłyszał, że zmarłą jest ta, którą kiedyś kochał, przypomniał sobie nagle, co miał i stracił, ale wiedział również, że stracił i ją, i wszystko na długo przed jej śmiercią, a sama strata wydała mu się rzeczywista tylko w pierwszej chwili, w następnej była daleko, za mgłą...

Martin zamknął oczy, a kiedy ponownie je otworzył, sam widział jak przez mgłę parter i białe maski na dole, i tę, którą kochał. Ujęła jego rękę i, gładząc ją pieszczotliwie w swoich ciepłych dłoniach, szepnęła:

– Powiedz, o czym myślisz?

VI

Zimowa noc spała wokół nich. Śnieg przestał padać, w mglistej poświacie księżyca przez śnieżne zasy dotarli do domu, do jej bramy, na schody. Rozjaśniało się, im wyżej wchodzili. Zatrzymali się przy oknie na podeście, w księżycowym strumieniu, i wyjrzeni. Mgła zalegała teraz pod nimi, spowijając podwórka i place, ale w wyższych warstwach powietrze było niemal przezroczyste, niebieskawe i jasne jak w sierpniową noc. Szeroki świetlny krąg otaczał księżyc, a świat w bladym świetle spoczywał niczym zamarznięty i skamieniały, z morza mgły na dole wyłaniała się samotna ściana budynku bez jednego okna, ściągająca zimne spojrzenie księżyca, odwzajemniając je ślepo i pusto. Przeszedł ich oboje dreszcz, przytulili się mocno do siebie z zamkniętymi oczami i wszystko zniknęło w pocałunku. W długim i dziwnym pocałunku. Czuł, jak rozplywa się w nim cała jego istota, słyszał w uszach odległe dzwony jakby z wiejskiego kościółka, gdzieś daleko między pastwiskami i połami. Jakby był niedzielny poranek, widział zagrabione piaszczyste ścieżki, na rabatach czerwieniły się piwonie, białe i żółte motyle latały wśród krzewów i traw, słyszał szum wysokich drzew. Szedł z nią między drzewami, lecz przez korony przeciągał już powiew jesieni, żółte motyle były żółtymi liśćmi, a niektóre szerniały od mrozu. Wiatr niósł ze sobą urywane dźwięki i słowa, raz przypominające suche codzienne zwroty, raz ukradkowe

szepnięcia o czymś, co trzeba zachować w tajemnicy, a w to wszystko wmieszało się jakby echo charakterystycznego głosu aktora, gdy mówił: kochałem Ofelię! Nie oderwał się jednak od jej ust, zapadali się w sobie coraz głębiej, miał wrażenie, że porusza się w przestworzach, czerwona gwiazda płonęła w mglistej poświacie księżyca, najpierw matowo, przygaszona, potem coraz silniej i bliżej, rozrastała się, poszerzała w płonącą studnię ognia, a on przywarł do niej ustami. Spalał się bez bólu, płomienie chłodziły mu język jak cierpkie wino; i wszystko, sytość i głód, pragnienie i ochłode, ożywcze słońce i strach ciemności, bystrą myśl dnia i lunatyczną rozterkę nocy, wszelkie ziemskie pożądanie i nieszczęście wysysał z tej studni.